

ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 42 grudzień 2014

PROSTO Z MOSTU

A pastel drawing of a young girl with blue eyes and a red heart pierced by a black cross. The girl has a joyful expression, with her mouth open as if laughing or shouting. Her hair is dark and messy. The background is a mix of blue and brown tones, with a large, light-colored circular shape behind her head. The overall style is soft and expressive, using pastel colors and visible brushstrokes.

**TRANSPLANTOLOGIA
A CHRZEŚCIJAŃSTWO**

SPIS TREŚCI

TEMAT NUMERU: STOSUNEK KOŚCIOŁÓW
CHRZEŚCIJAŃSKICH DO PRZESZCZEPÓW

12

DAR Z SIEBIE JAKO WYRAZ SOLIDARNOŚCI
MIĘDZYŁUDZKIEJ
W KONTEKŚCIE PROBLEMÓW
TRANSPLANTOLOGII

15

PRAWOSŁAWIE A TRANSPLANTACJE

16

OŚWIADCZENIE KOŚCIOŁA
EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W RP
W SPRAWIE TRANSPLANTACJI
I DAWSTWA ORGANÓW



WYWIAD PROSTO Z MOSTU

5

CZŁOWIEK Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

18

„DO WARTOŚCI TRZEBA POCIĄGAĆ,
A NIE POPYCHAĆ”



38

POLSKIE OJCZYZNY ALBO POLAK POTRAFI...

POZOSTAŁE ARTYKUŁY

4

WIGILIA NA MORZU

9

DWA ŚWIĄTY (CZ. 1)

PO WIZYTACH APOSTOLSKICH OJCA ŚWIĘTEGO
W STRASBURGU I TURCJI

22

ZADOMOWIENI

24

EMPATIA

27

W SZPONACH DEPRESJI

28

MSZA ŚWIĘTA - RYTUAŁ CZY RANDKA?

CZEŚĆ 3

31

PAN BÓG W DZWONECZKACH
POPKULTURY

34

KRZYŻ Z KAMIENIA

Zawsze kiedy myślę o Świętach Bożego Narodzenia mam przed oczami blask „4 Świec” zapalanych co roku w jeden styczniowy wieczór w Trzebiatowie. Cztery wyznania: rzymskokatolickie, prawosławne, ewangelicko-augsburskie i greckokatolickie spotykają się wtedy, by przy dźwiękach bożonarodzeniowych pieśni wspólnie przeżywać czas rodzącej się nadziei. Ukraińskie wertepy, cerkiewne śpiewy chóralne, kolędy i pastorałki, dzieci wtulone w ciepłe kołnierze swoich babć, oczy pełne łez wzruszenia i wielkie poczucie jedności, a wszystko to pod kopułą wojskowego kościoła pw. św. Michała Kozala w Trzebiatowie. Tego wieczoru mały płomień świecy ogrzewa serca wszystkich chrześcijan i przynosi nadzieję.

To niezwykle wydarzenie tak pięknie pokazuje moc wspólnoty. Myśląc o trzebiatowskich spotkaniach, ogarnia mnie również radość, że w myśl tej idei my również kładziemy swoją cegiełkę, budując Most pomiędzy wyznaniem. Z całego serca dziękuję Wam za współtworzenie gazety i piękny przykład tego, że można razem, wspólnie budować wzajemne relacje w duchu ekumenizmu. Dzięki Waszej pracy nasz Most jest coraz mocniejszy i trwalszy. Choć nie zawsze mówiliśmy wspólnym językiem, nie zawsze mieliśmy takie samo zdanie, na pewno dużo już o sobie wiemy. A wiedza to światło, które rozprasza lęki i niepewności.

Już niedługo wszyscy usiądziemy przy pięknie nakrytych stołach, by w blasku świec przełamać się opłatkiem, podzielić prośbą, w gronie najbliższych przeżywać radość jaką niesie Narodzenie Pana. Z tej okazji pragnę życzyć Wam otwartości na drugiego człowieka, wciąż niegasnącej Nadziei i Wiary, które pomogą pokonać największe ciemności. Podążając za słowami kolędy „Gdy się Chrystus rodzi... Ciemna noc w jasności promienistej brodzi”, niech ta jasność rodząca się wraz Chrystusem wypełni Wasze serca, stanie się ich blaskiem i przyniesie ciepło, przy którym będzie mógł ogrzać się każdy napotkany człowiek.

A jeżeli w ten jeden styczniowy wieczór znajdziecie chwilę czasu, by się zatrzymać i usiąść w blasku świec, koniecznie zajrzyjcie do Trzebiatowa.

Małgorzata Moraczewska

Idea gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa. Oprócz tematów religijnych młodzi ludzie i duchowni różnych wyznań piszą teksty z pogranicza tematyki społecznej, kulturalnej, sportowej. Cały czas czekamy na kolejnych „ekumenicznych”. Chcesz pisać i dołączyć do Nas? Odezwij się na: ekumeniczni@wp.pl

Autorzy

Paulina Bielecka, Basia Chojnacka, Anna Malec (Warszawa),
Krzysztof Szypowski (Stargard Szczeciński),
Ewa Smutek, Roman Zięba, Agata Krężałek
Magdalena Zukowska, Marysia Wałas,
Jarosław Kaczmarczyk, Maciej Papke, o. Maciej Biskup OP,
ks. Marcin Sęk TChr (Poznań), o. Patryk Zakrzewski
ks. Mariusz Sokołowski SChr (Bochum, Niemcy),
ks. Mariusz Wenclawek SDB, ks. Leszek Tokarzewski TChr

Zastępcy redaktora naczelnego

Ewelina Dmitrowicz (Warszawa)
Małgorzata Moraczewska

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejski

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl
konto na facebooku:
<http://www.facebook.com/ekumeniczni>
Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia

Proszę zeskanować kod QR

Skład

Robert Zak
robert.zak@wp.pl

Korekta

Paulina Filutowska

Konsultacja teologiczna parafii

prawosławnej:
ks. Paweł Stefanowski
ewangelicko-augsburskiej:
ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”
www.szczecińska.eu



WIGILIA NA MORZU

Tekst

Edward Zajączkowski

radiooficer

Był rok 1987, grudzień. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Pływałem wówczas na włoskim statku pod panamską banderą o wdzięcznej nazwie Alexa II. Byliśmy na Oceanie Indyjskim, kierując się w stronę pięknych wysp: Mauritiusa i Madagaskaru. Przypomniałem sobie o Maurytiusie. Ongiś miała to być polska kolonia.

Ocean był spokojny, niebo pogodne, a w moim kraju zima – mroźno i pełno śniegu. Na statku było nas około 25 osób. Kapitan, starszy dystyngowany Włoch miłujący nade wszystko pływanie, włoski kucharz, chorwaccy mechanicy, sycylijscy marynarze no i my Polacy – elektryk i ja – radiooficer. W ładowni czekały dwie piękne choinki, które postawiono w messach – oficerskiej i dla marynarzy.

Statek wymagał remontu, więc z nadzieją i niepokojem obserwowaliśmy, czy nic się nie zdarzy na wysłużonym gracie. W Durbanie obiecano nam naprawiać to, co kwalifikowało się do remontu. Ale tak naprawdę to strach było pływać takim wrakiem. Cóż – panamska bandera.

W wigilijny wieczór oczekiwaliśmy pierwszej gwiazdki. Z kuchni wydobywały się nieznane nam na co dzień zapachy. Na wigilijnym stole pojawiły się dania. Była ryba (ale nie karp), sałatki, owoce morza, budyń o trudnym do rozszyfrowania, ale doskonałym smaku, sery, ciasta i wino. Najbardziej jednak smakowały czarne, chrupiące ośmiorniczki z pieca. Kapitan złożył nam życzenia, przełamaliśmy się chlebem i zaczęliśmy śpiewać kolędy. Najpierw my, Polacy, potem Chorwaci pięknymi głosami zaśpiewali swoje bożonarodzeniowe pieśni. A potem niemal do świtu gawędziliśmy, opowiadając o swoich tradycjach i zwyczajach. Nasłuchiwałem radiostacji, czekając na głos Radia Szczecin, lub Radia Gdynia, a kiedy udało mi się połączyć z domem, ze ściśniętym gardłem pytałem czy biało za oknem, jaka choinka, czy jest kutia, czy pachną grzyby, kapusta, pierniki i czy jest na stole karp...

Takie dziecinne pytania...

Żałowałem, że nie zabrałem w rejs opłatków... To tylko polska tradycja. Brakowało mi rodzinnego ciepła, blasku świec, pustego miejsca przy stole i zapachów... Ale najbardziej tęskniłem za pasterką w rozświetlonym, pełnym kolęd kościele. Cóż, taki wybrałem zawód i pewnie każdy człowiek morza niejedną wigilię spędził na morzu.

CZŁOWIEK Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

Rozmawiał
Piotr Kołodziejski
parafia rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Dotychczasowy dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego został nowym biskupem pomocniczym archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. Decyzję papieża Franciszka o nominacji bp. Henryka Wejmana 22 listopada ogłosiła Nuncjatura Apostolska w Polsce. Święcenie nowego biskupa odbyło się w sobotę, 20 grudnia, w szczecińskiej katedrze. Konsekratorami nowego biskupa byli nuncjusz apostolski w Polsce, Celestino Migliore; a także metropolita szczecińsko-kamieński, abp Andrzej Dzięga i ordynariusz diecezji sosnowieckiej, bp Grzegorz Kaszak, który pochodzi z Choszczna. To w tym mieście urodził się bp Henryk Wejman. Pochodzi jednak z Zeliszewa w parafii Suliszewo. To była pierwsza konsekracja biskupa w Szczecinie od 34 lat, kiedy sakrę przyjmował bp Stanisław Stefanek.

Nowy biskup pomocniczy udzielił wywiadu audycji katolickiej Radia Szczecin „Religia na fali”. Obszerne fragmenty prezentujemy poniżej. Cała rozmowa po kliknięciu w QR kod.



Piotr Kołodziejski: *Jakie cechy i jakie kompetencje trzeba mieć, aby zostać biskupem?*

Bp Henryk Wejman: Niewątpliwie trzeba kierować się zasadami ewangelicznymi, umiłowaniem Pana Boga i otwartością na drugiego człowieka, czyli miłością bliźniego. Na pewno trzeba być zdrowym, bo to też istotna cecha w posłudze biskupiej. Nade wszystko ważne są wartości moralne, a także gorliwość apostołska.

Fot. Mateusz Tschech



Biskup Marian Błażej Kruszyłowicz ponad trzy lata temu osiągnął wiek emerytalny. Dwa lata miał przedłużoną posługę. Potem przeszedł na emeryturę, a my już od tego czasu ponad rok czekaliśmy na nowego biskupa pomocniczego. Zgodnie z procedurą wysyła się terno, czyli trzech kandydatów do Watykanu. Czy było tak wielu dobrych kandydatów na biskupa, że tyle musieliśmy czekać?

Tych spraw nie znam, bo żaden z kandydatów nie jest o tym informowany. To są procedury Stolicy Apostolskiej. Jeśli kandydat zostanie zweryfikowany przez Kongregację do Spraw Biskupów i papież zdecyduje o wyborze, wtedy jest mu obwieszczana decyzja ojca świętego. Nie mogę więc powiedzieć, jak przebiegały procedury. Mogę tylko powiedzieć o tym, że zostałem zaproszony przez nuncjusza na spotkanie, na którym obwieścił mi decyzję papieża Franciszka o wyborze na biskupa pomocniczego. To ostatni moment wybierania kandydata na biskupa.

Które słowa papieża Franciszka najmocniej utkwiły ks. biskupowi w pamięci?

Myślę, że te z początku jego pontyfikatu, że będzie starał się, aby Kościół był ubogi i dla ubogich. W tych słowach z jednej strony naznaczył pewne zadania dla Kościoła, aby kierował się wartościami jak najgłębiej ewangelicznymi i nie szukał uznania i przymilania się światu, ale był wierny Chrystusowi. Z drugiej strony wskazał Kościół otwarty na każdego człowieka, szczególnie tego najbardziej potrzebującego, doświadczonego jakąkolwiek formą ubóstwa, nędzy, bo każdy człowiek, jak uczył nas Jan Paweł II, dzisiejszy wielki święty, jest drogą Kościoła.

Papież powiedział także do biskupów, że to nie jest funkcja zaszczytna, a biskup jest po to, żeby służyć, a nie żeby mu służono. Dodał także, że nie potrzebujemy księży klerykałów i urzędników. Jak ksiądz rozumie swoje biskupstwo?

Po ludzku patrząc, wybór na urząd biskupa w płaszczyźnie ludzkiego odbioru jest jakimś wyróżnieniem. Za nim jednak tkwi dość odpowiedzialne zadanie. Wiadomo, że biskup jest wybierany po to, żeby służyć wspólnocie, do której jest posyłany. Ta służba ma być nacechowana umiłowaniem Chrystusa i w duchu jego posługi, która była posługą bycia dla. To znaczy pełnić służbę wobec każdego człowieka bez względu na światopogląd, kolor skóry czy pozycję społeczną.

Był ksiądz już proboszczem, duszpasterzem akademickim, ojcem duchownym w seminarium, pracował w kurii w Wydziale Duszpasterskim, jest ksiądz też naukowcem. Z rozmów z magistrami księdza biskupa, a także braćmi w

kapłaństwie wyłania się obraz (tak zresztą został biskup nazwany) człowieka z pierwszej linii frontu. To nie przypadkowy człowiek, który zostaje biskupem. Gdyby jednak spojrzeć ksiądz biskup na swoją wieloletnią postugę kapłańską, na jakim polu zabrakło jej? Czy gdzieś czuje się ksiądz biskup niespełniony?

Muszę przyznać, że niewątpliwie nie pracowałem w szerokim zakresie na polu posługi neokatechumenatowi. Spotkałem się z pracą i działaniem neokatechumenatu, ale nie byłem tak zaangażowany, jak w inne płaszczyzny duszpasterskiego posługiwania. Myślę, że to jest teraz płaszczyzna do większego oddania się i zainteresowania tą prężną wspólnotą, która wpływa na duchowy rozwój wspólnoty kościelnej. W pozostałych płaszczyznach duszpasterskich mniej lub bardziej brałem udział.

Czy jest duszpasterstwo, które szczególnie upodobał sobie ksiądz biskup i w którym czuł się najlepiej?

Byłem bardzo zaangażowany w duszpasterstwo akademickie. Byłem duszpasterzem akademickim w parafii św. Józefa w Szczecinie pod koniec lat 80. Tam jest duży ośrodek studencki Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego. Oddałem wiele sił i umiejętności. To też wynikało z otwartości studentów. Oni nie tylko mnie inspirowali, ale też podejmowali sugestie, inicjatywy i dzięki tej otwartości na siebie nawzajem, mogliśmy wiele zrobić i wiele pomysłów tworzyło się.

Rozmawiałem z ks. kan. Czesławem Fryską, który był wtedy proboszczem w tej parafii. Obecnie posługuje w Ińsku. Potwierdził, że niedziela, godzina 18.30 oznaczała pełny kościół, białych, czarnych studentów. Widać było, że duszpasterstwo żyje i księdza projekt tego duszpasterstwa rzeczywiście wypalił. Na początku ks. proboszcz nie był przekonany, ale młodzi przychodzili do spowiedzi, to działało. Czy to oznacza, że dalej bardziej czujnym okiem będzie ksiądz biskup przyglądał się rozwojowi duszpasterstw akademickich Szczecina?

To będzie niewątpliwie moim pragnieniem i płaszczyzną biskupiej posługi. Będę starał się zachęcać księży, żeby poświęcali swoje siły, czas i umiejętności, nie tylko studentom, ale też na innych płaszczyznach duszpasterskich. Niewątpliwie też moim pragnieniem jest akcentowanie potrzeby bycia w konfesjonale, bo ludzie potrzebują kontaktu z Panem Bogiem, potrzebują przemiany i dlatego kapłan winien umożliwiać wiernym tę posługę.

Magistranci wymieniali wśród cech księdza biskupa: skromność, pokorę, otwartość, ascezę. O promotorze swoich prac magisterskich mówili też, że tworzy przestrzeń zaufania, jest wyważony, używa konkretnych słów. Czy ta precyzja przekłada się również na język homilii, bo postuga biskupa to

również postuga słowa. Wierni często zwracają uwagę na to, co biskup powie w homilii, kazaniu. Czy w tym języku, nie ma języka naukowego i czy jest to typowy język skierowany do zwykłego wiernego?

Niewątpliwie inny jest język naukowy, a inny homiletyczny. Innym językiem posługujemy się w pracach badawczych, a innym w przekazie ewangelicznym dla wiernych. Będę się starał, aby przejść z języka nauki na przystępny język zrozumiały dla wiernych. Myślę, że nie będzie to łatwe, ale zdaje sobie z tego sprawę i będę starał się przekazywać prawdy ewangeliczne w sposób zrozumiały. To, co zawsze przyświecało w moim przepowiadaniu i temu będę starał się być wierny, to przekaz orędzia zbawczego, bo to jest najistotniejsze. Jeśli to będzie jak najprzystępniej przekazywane wiernym, to oni potem potrafią z tego wyprowadzać zasady dla życia. To jest nadrzędny cel mojego przekazu i orędzia.

Podkreśla ksiądz biskup, że jest człowiekiem z tych ziem, więc nie będzie musiał się ich uczyć. Jakie więc największe wyzwania stoją przed księdzem biskupem i Kościołem na Pomorzu Zachodnim? Patrząc na statystyki frekwencji uczęszczających do kościoła w niedzielę i przystępujących do komunii św., to jesteśmy niemal na szarym końcu.

To wyznacza zadanie dla posługi biskupiej, ale też na zaangażowanie kapłanów w budzenie tej świadomości udziału w Eucharystii. To jedno z wyzwań, aby obudzić pragnienie udziału w niedzielnej Eucharystii. Drugim wyzwaniem jest budzić pragnienie przyjmowania komunii św. Myślę, że obok przepowiadania, to będą zasadnicze pola działania dla mnie.

Jeśli chodzi o rolę łącznika duchownych z arcybiskupem, to chyba problemu nie będzie, bo ilekroć pytam innych księży, płyną same komplementy pod adresem księdza biskupa. Będzie chyba dużo łatwiej?

Mam nadzieję. Wychodzę spośród duchowieństwa tej ziemi. Znam kapłanów i biskupów, którzy tu posługiwali. Myślę, że ta znajomość będzie ułatwiać budowanie twórczych relacji. Chcę w jak największym stopniu jednoczyć, budować wspólnotę i mobilizować, żeby ludzie jak najgłębiej wzrastali duchowo, a przez to Pan Bóg też był uwielbiony.

Na zakończenie rozmowy ksiądz biskup poprosił wiernych o modlitwę w dalszej swojej postudze, innej niż pełnił do tej pory.

DWA ŚWIATY (CZ. 1)

PO WIZYTACH APOSTOLSKICH OJCA ŚWIĘTEGO W STRASBURGU I TURCJI

Tekst

Ks. Krzysztof Łuszczek

Zestawienie tych dwóch wizyt papieskich obok siebie wynika nie tylko z ich chronologicznej bliskości, lecz także z pewnej wagi problemów poruszanych przez Ojca Świętego. Problemów ważnych zarówno dla społeczności międzynarodowej, jak i dla różnych Kościołów i wspólnot religijnych. Jest to spojrzenie papieża, który przybywa z końca świata. Patrzy więc na Europę z daleka, z szerszej perspektywy (co niektórzy uważają za wadę), ale być może dzięki temu to spojrzenie jest świeże i wnioski trafiają w istotę problemów.

Papieska wizyta w Strasburgu trwała zaledwie kilka godzin. Ojciec Święty nie spotykał się z wiernymi. Chociaż zarówno w Parlamencie Europejskim, jak i w Radzie Europy – miejscach odwiedzonych przez papieża – znalazły się grupy osób, które oczekiwały na papieża Franciszka i przywitały go okrzykami.

Franciszek rozpoczął swoją wizytę od spotkania w Parlamencie Europejskim, który stanowią przedstawiciele wszystkich 28 krajów należących do Unii Europejskiej. Został przywitany przez przewodniczącego parlamentu, niemieckiego socjalistę Martina Schulza. Przywitanie było nad wyraz serdeczne, zwłaszcza, że Schulz w swojej ojczyźnie nie uchodzi za przyjaciela Kościoła. W swoim powitalnym przemówieniu zwrócił uwagę na poważny kryzys, jaki przechodzi Unia Europejska, z którego wyjścia na razie nie widać. Powiedział m.in. „Od sześciu lat Europa przeżywa bezprzykładny kryzys, który ma ciężkie następstwa. Szczególnie dramatyczna jest utrata zaufania między ludźmi i instytucjami, tak na płaszczyźnie narodowej, jak i na płaszczyźnie europejskiej. Ta utrata zaufania jest ogromna. Bez zaufania nie przetrwa żadna idea czy instytucja”. Przewodniczący parlamentu przyznał, że instytucje unijne są bezradne wobec największych problemów kontynentu (jak np. bezrobocie wśród ludzi młodych). Stąd duże oczekiwania związane z pobytem papieża w Strasburgu. „Słowa Waszej Świątobliwości mają olbrzymie znaczenie, gdyż są kierowane do nas wszystkich i są ważne dla nas wszystkich, a tematy które Wasza Świątobliwość porusza trafiają do nas wszystkich i są uniwersalne.

Wasze słowa dają orientację w czasach braku orientacji. Wasze orędzie pokoju i dialogu, szczerość, odpowiedzialność, służba na rzecz innych, solidarność i bycie dla drugiego człowieka stoi nam wyraźnie przed oczyma” - mówił Schulz.

W swoim przemówieniu Ojciec Święty nawiązał do wizyty w Strasburgu św. Jana Pawła II. Niedługo po tym historycznym przemówieniu świętego runął Mur Berliński. Ojciec Święty przypomniał założenia ojców założycieli Unii Europejskiej. Chodziło o wypracowanie zdolności do wspólnego przewycięzania problemów, a przede wszystkim o budowanie pokoju. I chociaż w Unii Europejskiej państwa ze sobą nie walczą, to jednak jest nazbyt wiele sytuacji, kiedy osoby są traktowane jak przedmioty. Kiedy są przydatne, mogą liczyć na przyjęcie, ale kiedy nie są już potrzebne, można je wyrzucić, bo są słabe, chore i stare. Dlatego papież pytał o godność człowieka na kontynencie europejskim. Czy nie stajemy się indywidualistami? Nie tylko nie widzimy reszty świata, lecz także innych ludzi, którzy żyją obok nas. Nie szukamy dobra wspólnego, a jedynie własnych indywidualnych interesów. A fundamenty Unii Europejskiej położono na dowartościowaniu dobra wspólnego. Taki indywidualizm prowadzi do samotności. Ten stan ulega jeszcze zaostrzeniu przez kryzys gospodarczy.

Indywidualizm Europejczyków pogłębia jeszcze nieufność do instytucji europejskich, które są postrzegane jako odległe. Często wydaje się, że cała dyskusja dotycząca współczesnych problemów Europy koncentruje się na kwestiach technicznych i ekonomicznych. Nie ma w nich miejsca na antropologię, na próbę zrozumienia głębszych potrzeb człowieka. Należy uwolnić się od wielu manipulacji i fobii dotyczących ludzi.

Papież Franciszek zwrócił uwagę na problemy związane z ekologią oraz na sytuację emigrantów. Podkreślił, że Morze Śródziemne nie może stać się wielkim cmentarzem. Zwrócił także uwagę na sytuację prześladowanych chrześcijan w różnych miejscach świata, a szczególnie na Bliskim Wschodzie.

Jednak istota diagnozy obecnej sytuacji europejskiej w przemówieniu papieskim mieściła się w wielokrotnie później przytaczanym porównaniu Starego Kontynentu do starej, bezpłodnej kobiety. „Z wielu stron odnosi się ogólne wrażenie zmęczenia, starzenia się Europy – babci, już bezpłodnej i nie tętniącej życiem. Z tego względu wydaje się, że wielkie ideały, które inspirowały Europę straciły siłę przyciągania na rzecz biurokratycznych mechanizmów technicznych swoich instytucji” – mówił Ojciec Święty. Słowa były twarde i z nich rodziła się zachęta do odkrycia na nowo fundamentów, na których budowano ideę wspólnej Europy. Inaczej trudno będzie dojrzeć nadzieję na horyzoncie

przyszłości. Wsłuchując się w te słowa papieskiej diagnozy bieżącej sytuacji w Unii Europejskiej, przychodzą na myśl słowa sprzed 1500 lat. Na progu V w., kiedy Cesarstwo Rzymskie na Zachodzie chyliło się ku upadkowi, podobną diagnozę postawił Eucheriusz, biskup Lyonu. Patrząc na szerzące się wokół zło, na wojny, zamachy stanu, korupcję, nieodpowiedzialność ludzi sprawujących władzę, przestrzegał swoich współczesnych. Za szczególny znak uznał wyludnianie się Zachodu i spadek urodzin. Świat sobie współczesny nazwał „światem o siwych włosach”. Kilkadziesiąt lat po tych słowach, Cesarstwo Rzymskie na Zachodzie zostało zniszczone przez ludy Wschodu.

Przemówienie papieża Franciszka było wielokrotnie przerywane oklaskami, co zdaje się oznaczać, że papieska diagnoza trafiała w sedno i została właściwie zrozumiana. Wiele jej elementów Ojciec Święty powtórzył w Radzie Europy – skupiającej 47 europejskich państw. Wezwał Europę, aby wróciła do swojego dziedzictwa historycznego, do swoich korzeni i przez to odnalazła młodość ducha, która uczyni ją owocną i wielką. Sekretarz Generalny Rady, Thorbjørn Jagland, powiedział, że Europa dziś potrzebuje wartości i wizji oraz odwagi by spojgądać dalej niż rzeczywistość dnia dzisiejszego.

Ojciec Święty Franciszek, mimo że nie odniósł się bezpośrednio do wojny na Ukrainie, mówił o bólu zabijanych na Starym Kontynencie i tęskniących za pokojem. Nawiązując do sformułowania o „bezpłodnej babci, pytał w Radzie Europy: „Europo, gdzie jest twój wigor? Gdzie jest owo dążenie ideowe, które ożywiało i czyniło twoją historię wspaniałą? Gdzie jest twój duch zaciekawionej przebojowości? Gdzie jest twe pragnienie prawdy, które dotąd z pasją przekazywałaś światu?” Jednocześnie ponownie zaapelował o wyzbycie się indywidualizmu, który nie jest twórczy i prowadzi donikąd. W tym kontekście papież wspominał o biednych żyjących w Europie. Zaapelował o powstanie „nowej agory”, w której każde gremium społeczne mogłoby wymieniać swoje opinie z innymi i uczestniczyć w wypracowywaniu efektywnych rozwiązań.

Zarówno w Parlamencie Europejskim, jak i Radzie Europy Ojciec Święty spotkał się z ciepłym przyjęciem, także ze strony pracowników obu instytucji. Wydaje się również, że zarówno słowa przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, Martina Schulza, jak i przewodniczącej Rady Europy, Anne Brasseur, wykraczały poza zwykłą kurtuazję.

DAR Z SIEBIE JAKO WYRAZ SOLIDARNOŚCI MIĘDZYLUDZKIEJ W KONTEKŚCIE PROBLEMÓW TRANSPLANTOLOGII

Tekst

Ks. Grzegorz Chojnacki

Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego

Etyka katolicka podejmuje w swojej analizie kwestię życia, zwłaszcza ludzkiego, w oparciu o naukę Pisma Świętego, tradycji i nauczania urzędu nauczycielskiego Kościoła. W kontekście problematyki transplantologicznej etyka ta w pierwszym rzędzie nie ma na celu dociekania, w jaki sposób dokonuje się od strony technicznej transplantacja, nie ma też zamiaru podawania rozwiązań ściśle medycznych. Analizując procedury i możliwości transplantacyjne, chce ocenić proponowane modele rozwiązań, skonfrontować z innymi modelami etycznymi i wydać ostateczny werdykt. Etyka katolicka jest za dokonywaniem procedur transplantacyjnych z uwzględnieniem podstawowych norm medyczno-etycznych.

Pierwszym z nich jest fakt, że etyka katolicka pozostawia medycynie ustalenie wskaźników śmierci człowieka, pokazując jednocześnie, że śmierć mózgu nie wyczerpuje kompleksowości zagadnienia śmierci człowieka. „W odniesieniu do stosowanych dzisiaj wskaźników, które pozwalają stwierdzić, że nastąpiła śmierć – czy to związanych ze zjawiskami mózgowymi, czy też bardziej tradycyjnie, z czynnikami krążeniowo-oddechowymi – Kościół nie formułuje opinii technicznych. Ogranicza się do ewangelicznej powinności zestawienia informacji dostarczanych przez nauki medyczne z chrześcijańską wizją jedności osoby, wskazując na zbieżności oraz na ewentualne sprzeczności, mogące zagrażać szacunkowi należnemu ludzkiej godności” (Jan Paweł II, „Poszukiwania naukowe muszą szanować godność każdej”. Przemówienie wygłoszone do uczestników Kongresu Światowego Towarzystwa Transplantologicznego ludzkiej istoty, 29 sierpnia 2000, nr 5). Ewangeliczna powinność, wyrażona przez Jana Pawła II, wskazuje na potrzebę oczyszczenia rozumu ludzkiego, który nie jest wolny od błędu, a który uznać musi, idąc za myślą Kanta, że spotyka go szczególnie los: „dręczą go pytania, których nie może uchylić, albowiem zadaje mu je własna jego natura, ale na które nie może również odpowiedzieć, albowiem przewyższają one wszelką jego możliwość”. Zestawianie informacji nie musi prowadzić do wrogiego nastawiania przeciwko

sobie wiary i rozumu, lecz akcentuje fakt, że są one na siebie skazane, gdyż – w przypadku tajemnicy śmierci człowieka – jej kompleksowość mogą wyjaśnić tylko rozum i wiara na siebie skierowane. Aby jeszcze lepiej uwydatnić ten kontekst wiary i rozumu w przypadku ustalenia momentu śmierci jako bardzo ważnego wyznacznika dopuszczalności transplantacji od zmarłego dawcy, należy zacytować wypowiedź zawartą w Karcie Pracownika Służby Zdrowia: „Papieska Akademia Nauk wniosła w interesującym nas zakresie znaczący wkład. Chodzi tu przede wszystkim o biomedyczną definicję śmierci: »Osobę uznaje się za zmarłą, gdy doznała nieodwracalnej utraty wszelkiej zdolności utrzymania czynności ustrojów integracyjnych i koordynacyjnych – tak fizycznych, jak i umysłowych«. [...] W rzeczywistości to »śmierć mózgu jest prawdziwym kryterium śmierci, bowiem ostateczne ustanie czynności krążenia i oddychania prowadzi bardzo szybko do śmierci, bowiem ostateczne ustanie czynności krążenia i oddychania prowadzi bardzo szybko do śmierci mózgowej«. Wiara i moralność przyjmują na własny użytek te naukowe konkluzje. Wymagają jednakże od pracowników służby zdrowia starannego zastosowania różnych metod klinicznych i odpowiedniej aparatury stwierdzającej śmierć w sposób pewny, celem uniknięcia sytuacji, w której wydaje się orzeczenie o śmierci osoby, która wciąż jeszcze żyje i traktuje się taką osobę jako zmarłą” (nr 129). Droga w tym przypadku biegnie najpierw od rozumu do moralności, aby następnie obrać kierunek odwrotny, wskazując na moralny obowiązek staranności wypływający nie tylko z prawa medycznego, lecz także z własnego sumienia, którego imperatywny osąd jest ponad wszelkim zewnętrznym prawem. W tej samej Karcie związek pomiędzy wiarą i rozumem jest ukazany na podstawie modelu moralnego prawa naturalnego, o którego istnieniu daje świadectwo sumienia. Jeżeli podejmujemy jakiegokolwiek ingerencje medyczne w imię przykazania miłości bliźniego, to nie mogą one naruszać granic ludzkiej natury, która oznacza metafizyczną istotę człowieka. „Jesteśmy wezwani do miłości bliźniego w nowy sposób; w języku Ewangelii: do miłości „do końca”, jednak wewnątrz pewnych granic, których nie można przekroczyć, granic wyznaczonych przez samą naturę ludzką” (Jan Paweł II, „Najwyższy akt miłości”. Przemówienie do uczestników I Międzynarodowego Kongresu Towarzystwa Transplantacji Narządów, 20.06.1991, nr 2).

Celowość przedmiotową dokonywania przeszczepu organów wymaga, obok rzetelnego zastosowania kryterium śmierci człowieka, uwzględnienia takich wartości jak miłość, komunizm, solidarność i absolutny szacunek dla osoby ludzkiej. Te ogólne założenia dla dopuszczalności i godziwości transplantacji wyraża Jan Paweł II w ważnym przemówieniu skierowanym do specjalistów transplantologii: „Miłość, komunizm, solidarność i absolutny szacunek dla godności osoby ludzkiej stanowią jedyny słuszny kontekst przeszczepiania narządów. Jest sprawą istotną, aby nie lekceważyć moralnych i duchowych

wartości, jakie wchodzą w grę wtedy, gdy jednostki – przestrzegając norm etycznych, które gwarantują godność osoby ludzkiej i doprowadzają ją do doskonałości – w sposób wolny i świadomy decydują się dać część siebie samych, część własnego ciała, aby ratować życie drugiego człowieka” (Jan Paweł II, „Najwyższy akt miłości”. Przemówienie do uczestników I Międzynarodowego Kongresu Towarzystwa Transplantacji Narządów, 20.06.1991, nr 3). Zwłaszcza zasada solidarności pozwala zrozumieć siebie samego w wymiarze daru. Otrzymując od Boga dar życia wraz jednością duchowo-cieleśną, możemy, zachowując podstawowe zasady własnej integralności, uczynić z siebie samego dar dla innego człowieka.

Józef Wróbel zauważa, że „[...] Idea i zasada solidarności jest zasadniczo podyktowana przez braterstwo wszystkich ludzi, przez jedność rodzaju ludzkiego, naturę społeczną, godność osobową każdego człowieka i jego prawa, a także przez specyficzne ludzką naturę więzi międzyosobowej, której nie jest obca współzależność i współdziałanie oparte na wspólnocie przyjmującej niekiedy wprost kształt komunii (J. Wróbel, *Człowiek i medycyna. Teologicznomoralne podstawy ingerencji medycznych*, Kraków 1999, s. 311). Tylko w świetle komunii osób, która ma niedościgniony wzór w komunii osób Boskich, można zrozumieć ideę współzależności i współdziałania.

Idea solidarności wskazuje jeszcze na inny aspekt komunii osób, która zachęca do postawy wobec drugiego realizującej się w codziennym heroizmie. Jan Paweł II mówi w tym kontekście o gestach bezinteresowności, które dają nadzieję „wbrew nadziei”: „Oprócz faktów powszechnie znanych istnieje jeszcze heroizm dnia codziennego, na który składają się małe lub wielkie gesty bezinteresowności, umacniające autentyczną kulturę życia. Pośród tych gestów na szczególne uznanie zasługuje oddawanie organów, zgodnie z wymogami etyki, w celu ratowania zdrowia, a nawet życia chorym, pozbawionym niekiedy wszelkiej nadziei” (Encyklika *Evangelium vitae*, Poznań 1975, nr 86). Ale heroizmu dnia codziennego nie można nikomu zadekretować, on musi wypływać z wrażliwości sumienia i postawy altruistycznej.



Proszę
zeskanować kod
QR

Weź udział w nowej zabawie audycji „Religia na Fali”. Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co 2 tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6.00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy m.in. z duszpasterzami akademickimi (o. Pawłem Chodakiem, ks. Marcinem Sękiem), a także dominikaninem o. Maciejem Biskupem i ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali> Piotr Kołodziejski, **Zapraszam!**



audycja
katolicka
zdjęcia
video

NIEDZIELA
informacje

RELIGIA
NA FALI

www.radioszczecin.pl/religia

PRAWOSŁAWIE A TRANSPLANTACJE

Tekst

Maciej Papke

parafia prawosławna

pw. św. Mikołaja w Szczecinie

Kwestia transplantacji ludzkich organów (szczególnie serca) to pytanie o granicę życia i śmierci. W historii ludzkości, w historii medycyny różnie wyznaczono moment, w którym człowieka uznawano za martwego. Ta granica jest przesuwana coraz dalej. Sama śmierć jest też przez naukę i medycynę różnie interpretowana. Oficjalnie definicja śmierci została zmieniona całkiem niedawno, bo w 1968 roku.

Śmierci człowieka, w tym wypadku dawcy, rodzi komplikacje kwestii etycznej – pobierania organów do przeszczepów. Wszak nie można pobrać organów, kiedy tkanki są martwe. Zatem w zależności od tego, jak przesuniemy suwak na osi życia człowieka – uznamy, czy ktoś jeszcze żyje, czy już jest martwy. W wielu przypadkach transplantacji dawca musi żyć lub być przy życiu utrzymywany, aby można było pobrać od niego organ.

Cerkiew nie ma wypracowanego jednolitego dokumentu, zakazu lub nakazu odnośnie przeszczepów. Podchodzi do tej kwestii z ostrożnością, choćby ze względu na wspomnianą granicę życia i śmierci. Odrębnym przypadkiem jest oczywiście „darowanie” narządów, np. nerki, szpiku kostnego czy też krwi. Większość Cerkwi uznaje taki akt za miłosierny, braterski i ofiarny. Choć i tu mogą pojawić się sprzeczności teologów i pobożnych ludzi, których będzie niepokoiło naruszanie pełni i jedności ludzkiego organizmu. Nie tylko organizmu cielesnego, ale całej istoty ludzkiej – ciała, duszy i ducha.

Teolodzy i lekarze Cerkwi greckiej stwierdzili, że przeszczep nerki, skóry czy kości w szczególnych wypadkach może być dokonany, natomiast przeszczep serca uznano za moralnie wątpliwy. Wyjęcie serca wiąże się z uśmierceniem dawcy, z dokonaniem eutanazji. Także antropologia chrześcijańska widzi w sercu niejako centrum całego życia, zapewniające w jakimś stopniu i myślenie, i uczucia, i emocje. Z punktu widzenia tejże antropologii, ale i samych osób żyjących z czyimś sercem, negatywnymi konsekwencjami mogą być zachodzące zmiany w psychice, deformacja tożsamości człowieka.

Podsumowując, większość przeszczepów i transfuzji jest wyrazami miłości ze strony dawcy, należy jednak uważać, aby ta gałąź medycyny nie stała się targiem, przyczynkiem do eutanazji i handlu ludzkimi narządami.

OŚWIADCZENIE KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W RP W SPRAWIE TRANSPLANTACJI I DAWSTWA ORGANÓW

Na przestrzeni ostatnich 50 lat jesteśmy świadkami wielkich przemian w leczeniu człowieka, ratowaniu i przedłużaniu ludzkiego życia. Jeden z największych przełomów w medycynie związany jest z zastosowaniem metody transplantacji organów. Od pierwszych udanych przeszczepów organów ludzkich, takich jak: nerka, serce, wątroba czy trzustka, pochodzących od drugiej osoby dzieli nas zaledwie 40 lat. W ostatnim dziesięcioleciu transplantolodzy, przełamując kolejne bariery, dokonali udanych przeszczepów całych rąk, płuc i twarzy. W fazie eksperymentalnej są próby przeszczepów narządów odzwierzęcych (transplantacja ksenogeniczna). Owe osiągnięcia naukowców budzą wielkie nadzieje, ale też wywołują niepewność czy wręcz przerażenie.

Kościół Ewangelicko-Augsburski w Rzeczypospolitej Polskiej (luterński) w swej teologicznej i etycznej refleksji dostrzega znaczenie przemian z zakresu medycyny i biotechnologii w życiu społecznym, zauważa rosnące znaczenie transplantacji i dawstwa organów w systemie leczenia i ratowania życia.

Rzeczpospolita Polska na drodze tzw. Ustawy transplantacyjnej w roku 2005 dokonała szczegółowej regulacji kwestii przeszczepów i dawstwa organów. Jednym z najważniejszych zapisów tego aktu jest wprowadzenie zasady zgody domniemanej, która zakłada, że od zmarłego można pobrać narządy tkankowe w sytuacji, gdy nie zgłosił on za życia sprzeciwu wobec pobrania od niego narządów. W sposób szczególny ta regulacja wymaga od Kościoła wyrażenia jasnego stanowiska.

Teologia ewangelicka głosi, że największym darem, jaki człowiek otrzymuje od Boga jest życie. Pojmowane jest ono jako dobro, którym jednostka nie może swobodnie rozporządzać, lecz powinna wykorzystać dla rozwoju własnego i w służbie na rzecz bliźniego. W tradycji chrześcijańskiej człowiek rozumiany jest jako jedność psychosomatyczna, czyli ciała i duszy, jednostka ludzka to nie suma poszczególnych organów i tkanek, także żaden z organów nie stanowi o podmiotowości osoby, ale jedynie niepowtarzalna godność – jedność osoby stanowi o człowieczeństwie. Teologiczna antropologia oparta na biblijnym przekazie głosi nie tylko prawo człowieka do życia, lecz także nadzieję na zmartwychwstanie ciała na podobieństwo zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Tak nakreślone rozumienie człowieczeństwa, wpisane w eschatologiczną nadzieję, pozwala głębiej wniknąć w zagadnienie transplantacji i dawstwa organów.

Kościół ewangelicki na świecie nie wypracował jednolitego stanowiska wobec transplantacji i dawstwa organów, jednakże większość Kościołów luterzańskich akceptuje tę metodę terapii i zachęca swych wyznawców do bycia gotowym do zostania dawcą organów.

Polscy luteranie w niniejszym Oświadczeniu uznają, że transplantacja organów jest metodą moralnie akceptowalną i widzą w rozwoju transplantologii szansę na ratowanie życia wielu ludzi. Jednocześnie uznają, że przeszczep organów może być stosowany tylko w tym przypadku, gdy inne metody leczenia nie są możliwe. Transplantologia nie może być stosowana jako metoda wymiany sprawnych narządów na lepsze lub jako element szeroko rozumianej chirurgii plastycznej.

Wiara w zmartwychwstanie nie kłóci się z możliwością ofiarowania swoich organów po śmierci drugiej osobie. Teologicznym uprawomocnieniem dawstwa organów jest zasada miłości bliźniego. Jako wyznawcy Chrystusa głosimy, że gotowi jesteśmy do poświęcenia, do ofiarowania siebie drugiemu człowiekowi, rozciągamy tę zasadę na możliwość ofiarowania swoich organów po śmierci innej osobie, w celu ratowania życia. Inspirację do bycia dawcą organów odnajdujemy także w teologii krzyża, która głosi gotowość do wzięcia na siebie krzyża innych ludzi. W Jezusie Chrystusie widzimy także lekarza, który troszczył się o życie i zdrowie tych, których spotykał na swojej drodze. W naśladowaniu Jezusa znajdujemy wezwanie do niesienia pomocy innym.

Uważamy również, że dopuszczalna moralnie jest gotowość ofiarowania swoich organów (tzw. organy parzyste) przez żywego dawcę drugiej osobie, która jest blisko spokrewniona z dawcą. Kościół wskazuje jednocześnie na zagrożenia z tym związane.

Kościół Ewangelicko-Augsburski w RP stwierdza jednocześnie, że dawstwo organów nie może być przedmiotem sprzedaży, gdyż nikt nie może traktować siebie jako przedmiotu. Ludzkie organy nie są towarem i nie mogą stanowić przedmiotu wymiany handlowej.

Kościół ostrzega jednocześnie przed pokładaniem nieograniczonej wiary w medycynę, wyraża również sprzeciw wobec stosowania w medycynie przeszczepów narządów odzwierzęcych. Życie ludzkie ma swój kres i przedłużanie go za wszelką cenę staje w konflikcie z wiarą w zmartwychwstanie. Transplantacja organów powinna być pojmowana jako ostateczna metoda leczenia, a nie jako próba zapewnienia sobie nieśmiertelności.

Bielsko-Biała, 17 października 2010 r.

„DO WARTOŚCI TRZEBA POCIĄGAĆ, A NIE POPYCHAĆ”

Rozmawiał
Piotr Kołodziej
parafia rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

W listopadzie gościem Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Szczecinie był Jacek Pulikowski. Mąż i ojciec trójki dzieci, dr inżynier, wykładowca na Politechnice Poznańskiej oraz wykładowca Studium Rodziny przy Wydziale Teologicznym UAM w Poznaniu. Od około trzydziestu lat czynnie zaangażowany w działalność Duszpasterstwa Rodzin. Razem z żoną Jadwigą służą swoją wiedzą i doświadczeniem wielu małżeństwom w kryzysie i przygotowują młodych do założenia rodziny, prowadzą kursy przedmażeńskie (za www.jacek-pulikowski.izajasz.pl)

Oto, co powiedział audycji katolickiej Radia Szczecin „Religia na fali”.

***Piotr Kołodziej*: Co jest przyczyną kryzysu rodziny?**

Jacek Pulikowski: Istotne jest zastanowienie się nad przyczynami i późniejszymi skutkami. Kryzys rodziny oczywiście jest. Jesteśmy winni my dorośli, a nie młodzież. Niektórzy dorośli obrzydząją swoim dzieciom rodzinę przez piekło, przez rozwody, przez kolejne związki i młodzi nie chcą powtarzać tego, co widzieli u rodziców. Oczywiście to byłoby za proste, gdybym powiedział, że to jest jedyna przyczyna. Świat mediów bardzo zwalcza porządność rodzin. Promuje dziwaczne związki, które są niezdolne do rodzenia, a daje im przywileje małżeństw i rodzin. To wszystko dzieje się w duchu hedonizmu, użycia, powierzchownych przyjemności, za wszelką cenę. To wszystko nie stwarza

Fot. youtube.com



klimatu do zakładania stałych rodzin, gdzie jest trud i samoograniczenie. Wiele czynników składa się na kryzys rodziny, ale przede wszystkim mamy kryzys patrzenia na rodzinę i patrzenia na rolę. To jest istotne. Kiedyś role były bardzo jednoznacznie podzielone. Wiadomo, co należało do mężczyzny, a co do kobiety i większość się do tego dostosowywała. Mężczyzna zarabiał, bronił, chronił rodzinę. Kobieta wychowywała dzieci, zajmowała się domem i dla każdego było to chlubą, że wypełnia coś przyzwoitego, wypełnia swoją rolę. Dziś jest bunt i udawanie przed sobą nawzajem, że siebie nie potrzebujemy, że damy sobie radę bez siebie. To oczywiście jest bunt, który podsunął świat i ludzie ulegają temu.

Oczywiście są rodziny porządne, które inwestują w dzieci. Rodziny, które bardzo mocno trzymają się moralnie, trzymają się świata wartości, także chrześcijańskich – Kościoła i sakramentów. Tyle tylko, że tych rodzin media nie pokazują, więc nie ma wrażenia, że jest dużo porządných rodzin, a dużo jest takich. Eksponowane są te nieporządne, połamane, poniszczone.

Co dziś Pana zdaniem jest istotą męskości?

To nie tylko moim zdaniem. Istotą męskości było, jest i będzie ojcostwo i w tym zawiera się opiekuńczość, branie na siebie ciężarów, również psychicznych, bo mężczyzna powinien być do tego zdolny. W tym zawiera się także poczucie bezpieczeństwa, tego fizycznego, materialnego, ale również tego psychicznego. Mężczyzna powinien być ochroniarzem rodziny. I mężczyzna, który wejdzie w tę rolę jest szczęśliwy, bo jest tym, kim być powinien. Mężczyzna, który chowa się za plecami żony, nie czuje się z tym dobrze. Mimo, że tak robi. Bardzo wielu mężczyzn nęka swoje żony, dzieci, nie spełnia swoich funkcji, które do niego niejako naturalnie przynależą. To można niemal z biologii wyczytać, choćby hormon siły, testosteron, predysponuje mężczyznę do obrony przed bezpośrednim zagrożeniem czy też do ciężkiej pracy fizycznej. Mężczyzna, który od tego ucieka, nie jest szczęśliwy. A dziś mężczyzna masowo od tego ucieka. Wydaje mu się, że się bawi, jest bawiącym się chłopczykiem, Piotrusiem Panem, playboyem. On jest z siebie bardzo zadowolony, ale to nie zmienia faktu, że on jest po prostu biedny.

Podobnie kobiety uciekają od swoich odwiecznych ról, od rodzenia i wychowywania dzieci. Nie jest problemem, żeby teraz stworzyć nową wizję szczęścia kobiecego, wolną od rodzenia dzieci i wychowania. Problemem jest, żeby dowartościować rodzenie i wychowanie dzieci, żeby kobiety chciały to robić, żeby były z tego dumne. Środki masowego przekazu, ale także nastroje społeczne sprowadziły te funkcje do podrzędnych. Określa się to mianem garów i pieluch. Kiedyś na wsi były makatki „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”. Dziś to byłby obciach, gdyby ktoś coś takiego powieścił. „Co? Ja mu będę gotować? Niech sobie sam gotuje! Nie jestem gorsza!”

To bunt, dlatego jesteśmy masowo nieszczęśliwi, bo odeszliśmy od tego, do

czego zostaliśmy przeznaczeni i genialnie wyposażeni i w czym moglibyśmy znaleźć szczęście.

Spotyka się Pan z młodymi ludźmi, prowadzi nauki przedmatżeńskie. Jakie są ich główne problemy i bolączki przed podjęciem decyzji o wspólnej drodze życia?

Jest wiele rzeczy, ale jest to lęk przed decyzją. To ewidentny wynik niedojrzałości, zwłaszcza niedojrzałości męskiej. Lęk przed odpowiedzialnością. Przyczyn tego jest wiele, ale główną wydaje się zagubienie roli ojca. Jeżeli wychowywała sama mama, a tata był nieobecny przy wychowaniu, to można takiego synka wypieścić, natomiast nie można go nauczyć „brania na klatę” trudności życiowych, bo mama przed tym osłania, nawet 30- czy 40-latką. To jest widoczne. Stąd wzięły się związki nieformalne, tzw. wolne. Oczywiście one są wolne do niskiej odpowiedzialności.

Bezpośrednie trudności młodzi mają w wymiarze seksualnym, bo świat to generuje i napędza. Od przedszkola zachęca dzieci do interesowania się, rozbudza ciekawość, niszczy wstyd. W związku z tym naturalna trudność, jaką ma każda kobieta w spotkaniu z mężczyzną (myślę tu o zakochanych), żeby zapanować nad swoim ciałem i pobudzeniem, inaczej trochę kobiety (bardziej nad wyobraźnią), inaczej mężczyźni (bardziej nad bezpośrednimi reakcjami ciała). Powstał taki klimat, że niektórzy nie chcą nawet nad tym panować. Za dobrą monetę przyjmują, że na pierwszym spotkaniu wskakują do łóżka. Oczywiście to musi wprowadzić ruinę w tych relacjach. Myślę, że czystość to dziś jeden z poważniejszych problemów młodych ludzi wchodzących w małżeństwo.

Mówi Pan o zakochaniu. Jak w takim razie doprowadzić do tego, żeby zakochanie dojrzało do miłości?

Przez czystość. Trzeba podjąć decyzję zmierzania ku sobie i poznawania siebie w czystości. Wtedy jest poznanie w prawdzie. Poznanie jest dobre i będzie dobra decyzja. Albo się rozstajemy, albo będziemy ze sobą do końca życia. Jeżeli uruchomimy bardzo silne napięcia seksualne, to nie mamy możliwości podjęcia racjonalnej decyzji.

Ludzie dziś, często przy pierwszych konfliktach, uciekają od siebie, dążą do rozwodu. Jak rozwiązywać matżeńskie konflikty?

Sposobów można podawać wiele, natomiast pierwsze pytanie brzmi, co zrobić, żeby ludzie chcieli rozwiązywać te konflikty, a nie uciekać?

W Internecie „chodziło” takie zdjęcie, gdzie wnuczek pyta dziadka: „Dziadku, na czym polega tajemnica waszego szczęścia, że Wy tak z babcią za rączkę 50 lat, ciągle razem, a tu ludzie po roku, dwóch się rozwodzą?” Dziadek odpowiada: „Wiesz wnusiu, bo w czasach kiedy my się pobieraliśmy to, jak coś się psuło, to trzeba było naprawiać, a dziś się wyrzuca i zmienia model”.

I coś w tym niestety jest. To brzmi żartobliwie, ale to jest coś głębszego. Ludzie nie mają determinacji do ratowania raz zawartego małżeństwa. Niektórzy mówią nawet wprost: „Druga, trzecia żona? Nie ma problemu”. A ja ostrzegam, że drugie małżeństwa rozpadają się częściej niż pierwsze, trzecie znacznie częściej niż drugie, a nowa żona ma wszystkie wady stare i dodatkowo jeszcze swoje. I to życie pokazuje. Natomiast świat mediów, filmy pokazują, że nowy mąż jest zawsze lepszy, nowa żona jest fantastyczna i dobrze, że pierwszą żonę zostawił. Kształtuje się w ludziach fałszywe tęsknoty. Nie tęsknoty do trwałego, wiernego i służącego dzieciom małżeństwa przekazującego życie. Tylko tęsknoty zabaw, specjalnych atrakcji. Nie można całe życie żyć efektami specjalnymi.

Prowadzi Pan w Szczecinie m.in. wykład o tym „Jak uchronić dzieci przed zagrożeniami współczesnego świata?”. Jak odpowiedzieć na to pytanie? Wspominał Pan o mediach, które pewnie są jednym z czynników.

Na pewno tak. Kiedyś uważało się, że to taka nieśmiertelna triada: rodzina, Kościół, szkoła. Jak te trzy będą w porządku, to dzieci będą uchronione. Dziś to jest nieaktualne. Dziś są inne czynniki działające na dzieci mocniej, chociaż rodzina zawsze pozostanie ważkim czynnikiem. Choćby młodemu człowiekowi wydawało się, że rodzina jest mało ważna, to i tak jest ważniejsza niż mu się wydaje. Są jednak dwa nowe czynniki, a właściwie jeden nowy, a drugi stary, niedostrzegany kiedyś. Ten stary i niedostrzegany to są rówieśnicy. Złe towarzystwo rówieśników potrafi wykraść dzieci z najporządniejszej rodziny ku światom totalnej patologii. Oczywiście im rodzina jest mocniejsza, a więc taty z mamą piękniejsza, tym dzieci bardziej chcą założyć normalną rodzinę i żyć, jak tata z mamą.

Najdrastyczniejszym czynnikiem są jednak media, które są na pierwszych miejscach w ankietach, kiedy pyta się młodych ludzi, co wpłynęło na kształt ich osobowości. To telewizja, komputer, coraz bardziej Internet, w którym przecież można znaleźć wszystko. Rzeczy dobre, ale także całą masę śmieci, które mogą zniszczyć życie. Znam bardzo wielu chłopców z najporządniejszych rodzin, którzy gubią się przez pornografię w Internecie. I jeszcze wydaje się takiemu młodemu człowiekowi, że jak wejdzie w małżeństwo, to on będzie normalnie funkcjonował. Nie będzie, póki się z tego nie wyleczy. Będzie ranił wybraną kobietę, a potem się rozwiodą, bo była nie w porządku, bo nie pasowali do siebie. A tymczasem to on się nie nadawał. Zagrożeniem są więc media, rówieśnicy i zniszczona rodzina.

Wiadomo, że zakazy działają w odwrotną stronę. Jak zatem działać, aby zakaz spełnił swoją funkcję, ale by nie był odebrany jako zakaz?

Jeżeli mamy jakiś system wartości, za którym dziecko chce iść, to przyjmie nawet zakaz. Jeżeli dzieci widzą, że rodzice żyją przyzwoicie, opowiadają się

za takim systemem wartości, np. Bożym. Żyją przykazaniami i np. nie kradną nie dlatego, żeby ich nie przyłapali, ale dlatego, że nie godzi się tak czynić człowiekowi. Są sobie wierni, szanują siebie. Jeżeli ten świat wartości daje dobre owoce w małżeństwie, rodzinie, to najczęściej dzieci chcą to naśladować. Oczywiście dzieci nie są wolne od pułapek, bo mogą w jakąś wpaść, natomiast chcą naśladować rodziców, czyli do wartości trzeba pociągać, a nie popychać. Nie wypychać dzieci z wygodnego fotela do trudu. Jeżeli my się trudzimy na oczach dzieci i są tego efekty, bo widzą, że żyjemy przyzwoicie, jesteśmy szczęśliwi i jest nam dobrze ze sobą, to wtedy dzieci będą chciały. Punktem wyjścia jest to, czego chcą nasi wychowankowie. Czy tęsknią do tego, żeby być taką wspaniałą rodziną jak rodzice. Czy tęsknią do tego, żeby urwać się wreszcie z tego piekielnego domu i być wolnym, co dla wielu młodych ludzi nie wiadomo co znaczy.

ZADOMOWIENI

Tekst

o. Maciej Biskup OP

przeor klasztoru dominikanów w Szczecinie

„O jakże szczęśliwe są oczy. W Tobie utkwione, o Życie” – te słowa z Liturgii towarzyszą Kościołowi w adwencie, w czasie intensywnego wychowywania naszej tęsknoty. Dużo pisał o niej św. Augustyn. Dobrze znał siłę i dramatyzm tego uczucia. Z powodu tęsknoty najpierw cierpiał, by potem doświadczyć w niej ukojenia: „całe życie prawdziwego chrześcijanina jest świętą tęsknotą. Za czym zaś tęsknisz, tego jeszcze nie widzisz, gdy jednak tęsknisz, wówczas stajesz się podatnym do przyjęcia tego, co zobaczysz, gdy nadejdzie”. Ciągłe tęsknimy, wyglądamy, oczekujemy... na kogoś, za czymś. I nie ujarzmimy tej ogromnej siły, dopóki się ona szczęśliwie nie zadomowi się w Bogu.

Gdy wiele rzeczy, doświadczeń i bodźców próbuje narzucić swój rytm naszym tęsknotom, liturgia adwentu prowadził nas w rytmie wołania: „Maranatha: Przyjdź Panie Jezu”. Bóg nigdy z naszych tęsknot nie szydzi, ale też nie zbywa tanim pocieszeniem. Eucharystia – zadatek przyszłej Chwały – daje nam przedsmak takiego domu, w którym zawsze będziemy u siebie, a nie na wygnaniu.

„Słowo Stało się Ciałem i zamieszkało między nami”, a w dosłownym tłumaczeniu „rozbiło namiot” pośrodku naszej niepewności, która bardziej przypomina jakąś prowizorkę zamieszkania, bo przecież „nie mamy tu miejsca

stałego". Bóg stał się człowiekiem i zdomowił się w naszym ludzkim losie. Przyjął naszą niepewność i pozwolił się zranić kruchością bliskości człowieka po to, by on mógł przekroczyć swoje wyobcowanie. Przez wiarę i duchowe zamieszkanie w Bogu już dziś możemy poznać zarys nadchodzącego dnia, w którym „ujrzemy jasny, piękny radosny świat, rozвесelimy się, a na obecne nasze nieszczęścia spojrzemy z rozczuleniem, z uśmiechem – i odpoczniemy” (Antoni Czechow, *Wujaszek Wania*).

Chrystus stał się domownikiem naszego losu, po to by nas otworzyć, tu i teraz, na inny Dom. To zbawienna alternatywa wobec pokusy zamknięcia się w potrzasku doraźnych odpowiedzi. Z powodu niezaspokojonych tęsknot realne jest pozwolić się owładnąć goryczy – „historia mówi, nie miej nadziei po tej stronie grobu. A jednak my, chrześcijanie, wierzymy że przez Wcielenie nadzieja rymuje się z historią” (Saeamus Heaney).

Ikona Bożego Narodzenia jest teologicznie ukierunkowana na Paschę. Sam żłóbek zapowiada grotę Grobu Pańskiego, ukazując w ten sposób dramatyzm ludzkiego losu: nieskończony wymiar naszej tęsknoty i nasze ubogie ludzkie środki, które nie mogą jej zaspokoić. Na krzyżu, w wołaniu Chrystusa: „Pragnę”, spotyka się ta nieskończoność ludzkich pragnień i niemożność ich spełnienia przez nas samych. Chrystus, w którego głosie, z jednej strony słyszymy niespokojne wołanie człowieka, a jednocześnie – w totalnym darze z siebie – przynosi nam nadzieję przełamania ludzkiego dramatu. W modlitwie Chrystusa całe człowieczeństwo woła do Boga, chcąc się w Nim ukryć: „Boże mój, Boże szukam Ciebie i pragnie Ciebie moja dusza... ciało moje tęskni za Tobą, jak zeschła ziemia łaknąca wody” (Ps 63).

Wiele lat temu oglądałem poruszający amerykański film *Dzwonki nadziei* (1999). To historia niewidomej murzynki, którą, choć dotknięta kalectwem, we własnym domu poruszała się po mistrzowsku. Nie potrafiła jednak samodzielnie funkcjonować poza nim. Pewnego dnia w jej sąsiedztwie zamieszkuje rodzina z 10-letnim chłopcem. Samotnej kobiecie groziło w tym czasie przeniesienie do domu opieki. Dziecko zaprzyjaźnia się z nią. Kobieta stara się mu pomóc w walce z dysleksją, a on uczy ją samodzielnego poruszania się poza domem. Ten kruchy chłopiec, sam potrzebujący wsparcia, to dla mnie symbol rodzącego się Chrystusa. Przyszedł i narodził się pomiędzy nami, przyjmując niepełność i słabość naszej natury. Ale paradoksalnie, to właśnie ta człowiecza kruchość staje się narzędziem naszego zbawienia. W słabości naszej natury, pod którą skryła się moc Bożej miłości, Chrystus pochwycił znękaną ludzkość za rękę, by ją wyprowadzić w kierunku Domu, co obrazowo ukazuje Ikona *Zstąpienia do piekieł*. Gdy na świat przychodzi dziecko, mama delikatnie, ale pewnie trzyma jego dłoń, w geście bezpieczeństwa. Ale czyż i nie także ona

staje się bardziej pewna, gdy czuje delikatny uścisk dziecka? Tak było ze św. Elżbietą, starą i zgnębioną kobietą, którą narodzony Jan uczynił znów silną. Uścisk narodzonego Jezusa dodawał sił Maryi i Józefowi, gdy doświadczyli smaku obcości w Betlejem, losu imigrantów w Egipcie. „Bóg tak wielki, że może stać się mały. Bóg jest tak potężny, że może stać się słaby i wyjść nam naprzeciw jako bezbronne dziecko, abyśmy Go mogli pokochać” – napisał kiedyś Benedykt XVI.

Liturgia Bożego Narodzenia dodaje nam odwagi, by wyciągnąć rękę w kierunku otwartej dłoni Chrystusa. To czas bliskości i czułości, którą Bóg pragnie nas ująć. Nie musimy się bać swej niepewności i ukrywać jej w bastionach udawanej, ale zalęknionej siły. Ojcowie Kościoła uczyli, że to, co nie jest dotknięte przez Chrystusa, nie może być zbawione. Nie trzeba skrywać swej niepewności. W niej Bóg pragnie nas otulić swoim narodzeniem. „Pan Niebiosów obnażon” sam pozwolił się otulić ubóstwem naszego człowieczeństwa.

Bardzo mnie poruszyła jedna chwila w czasie ekumenicznego nabożeństwa patriarchy Konstantynopola Bartłomieja z papieżem Franciszkiem, w czasie jego pielgrzymki do Turcji. Franciszek, wyrażając tęsknotę za jednością naszych Kościołów, pokornie schylił głowę i poprosił patriarchę Bartłomieja I o błogosławieństwo dla siebie i całego Kościoła rzymskiego. Bartłomiej odpowiedział na prośbę, po czym z serdeczną czułością brata pocałował papieża w głowę.

To są właśnie takie momenty w życiu, kiedy słowa nie wystarczają i trzeba je zastąpić gestem wyciągniętej ręki, objęciem ramionami, przytuleniem czy pocałunkiem. Tak postąpił Bóg. „Słowo stało się Ciałem” – bliskością i czułością.

EMPATIA

Tekst

Ks. Sławomir Sikora

parafia ewangelicko-augsburska
w Szczecinie

Empatia. Próba zrozumienia drugiego człowieka, „wejście w jego skórę”, próba postawienia się w jego sytuacji, współodczuwanie, umiejętność cieszenia się i martwienia z drugim człowiekiem. Tak intuicyjnie określiłbym, czym jest empatia. Kluczowym słowem jest „próba”, a tekst pani Bogdany Bochdan oraz jej wiersze są najsmutniejszymi przykładami, jaka przepaść dzieli próbę od osiągniętego celu.

Słowo „depresja” zastępujemy zwrotami: chandra, mieć doła, wypalenie, potworne zmęczenie, mam już dość. Nie znając stanu depresyjnego, próbujemy wydobyć z siebie empatię i gotowi jesteśmy ze współczuciem pocieszyć, stwierdzając: Wiem, jak to jest. Często jednak różnica między „wiem, jak to jest” a „próbuję Ciebie zrozumieć” jest podobna do zestawienia słów określających stan człowieka: depresja – mieć doła. Przepaść i to znacząca.

Mało wiem o depresji. Intuicyjnie tylko wyczuwam, że nie wolno jej lekceważyć, a osoby z depresją należy kierować do specjalistów, jednocześnie próbować być z nimi, przy nich i dla nich. Wiem również, że nie należy bagatelizować tego, co nazywamy stanem „mam już dość”. Pociąg zwany życiem pędzi dzisiaj z prędkością Pendolino (te do 250 km/h!). Trudno jest się przeciwko temu zbuntować i postanowić podróżować życiowym pociągiem z lokomotywą parową, chociaż wtedy można podziwiać przez okno piękne krajobrazy. Coraz mniej jesteśmy tym zainteresowani, zarówno wolniejszym tempem życia, jak i wolniejszą koleją również. Przecież zawsze i wszędzie chodzi o to, aby szybciej być na miejscu. Po co nam wolniejsze pociągi z pięknymi widokami za oknem, skoro i tak większość pasażerów używa laptopów, telefonów komórkowych, itp. Nie mamy czasu nie tylko na podziwianie widoków w pociągu, lecz także na refleksję nad codziennością. Przy tych prędkościach życia trudno jest dostrzec, a nawet zadać pytanie, dokąd ten mój pociąg życia pędzi. Czy to jest kierunek, który wybrałem świadomie, czy raczej gnam z przypadku – w gdzieś?

Presja dzisiejszych czasów jest olbrzymia. Nie można się wyłamywać – trzeba szybciej, dalej, mocniej, intensywniej. Wokół słyhać liczne wobec nas oczekiwania: mamy być lepszymi pracownikami, lepszymi rodzicami, obywatelami, członkami naszych parafii – a to wszystko oznacza między innymi konieczność poświęcenia większej ilości czasu. Jak długo? Ile jeszcze damy rady wycisnąć sił z naszych organizmów? Ile jeszcze zniesie nasze serce i układ odpornościowy? Eksploatujemy nie tylko nasze ciało, lecz także duszę, bo jak zauważa pani Bogdana, coraz mniej poświęcamy czasu naszej sferze duchowej.

Wiem coś na temat presji. Odczuwam ją dosyć mocno jako duchowny. Najbardziej wymagającym wobec siebie jestem ja sam. Zawsze miałem wysokie poczucie odpowiedzialności za to, co robię, kim jestem oraz za tych, którzy stają na drodze mojego życia. W codziennej służbie w parafii duchowny może zawsze więcej poświęcić czasu dla drugiego człowieka. Można żyć z permanentnym przeświadczeniem, że z czymś ważnym się nie zdążyło. Można dać się złapać w szpony takiej presji, a uścisk jest tak silny, że zaczyna brakować sił, aby swobodnie zrobić krok do przodu. Nie wiem, co to depresja, ale doświadczyłem szponów „wypalenia”.

Nie wiem, dokąd ta droga by mnie doprowadziła, ale raczej to pociąg do zatracenia. Zrozumiałem, że aby móc być silnym dla swoich bliskich i dla swoich parafian również, muszę zadbać przede wszystkim o samego siebie. Nie mogę im w pełni okazywać miłości, jeśli sam nie będę kochał siebie. A życie, w którym odbierasz sobie prawo do robienia czegoś dla siebie, jest zaprzeczeniem przykazania miłości. Znalazłem coś dla siebie. Kto regularnie czyta naszą gazetę ten wie, że mam na myśli bieganie. Tym razem chcę wspomnieć o „siostrze bliźniacze”, która pojawiła się w moim życiu niemal w tym samym czasie. To pisanie wierszy. Jest ono terapią dla mojej duszy, rozładowaniem emocji i tego, co siedzi czasem we mnie i nie daje spokoju. Najpierw były to teksty, które trafiały do szuflady, z czasem jednak bardzo nieśmiało zacząłem się nimi dzielić. I tak moje dwie życiowe przygody, bieganie i poezja, spotkały się razem w moim pierwszym wydanym tomiku Myśli w biegu. Moje obie pasje pozwalają mi lepiej poznać i zrozumieć samego siebie. Trudno bowiem być empatycznym wobec drugiego człowieka, skoro dla siebie samego stanowi się wielką niewiadomą.

Nikt z nas nie jest cyborgiem pozbawionym uczuć i nikt z nas nie jest perpetuum mobile (poruszające się wiecznie). Chcąc dawać drugiemu, sami musimy mieć możliwość czerpania z Wiecznej Miłości. Tego również musimy się nauczyć. To też jest rodzaj empatii.

Cyberczłowiek

*Cyberczłowiek z wyciętym sercem
włożono mu tytanową płytkę zamiast.
W komory światłowodowy hightech.
Zamiast krwi ciekły kryształ.
Człowiekoodporny,
lepszy model ludzkości.*

*Wrażliwy – z czujnikami empatii,
delikatny mikroprocesowo,
dobry i kochający
zgodnie z programem.*

*Można go ranić do woli
– tytanowa płytką zamiast.
Nie ma takiego słowa,
którym by prosto w serce.
Do woli obrażaj, kłam,
rzucaj kłody pod nogi
– filtr odczuwania zatrzyma.*

*Jestem człowiekiem zwykłym.
Z sercem.*

W SZPONACH DEPRESJI

Tekst

Bogdana Bochdan

parafia rzymskokatolicka pw. Świętej Rodziny

Wiek XXI, według prognoz, ma być wiekiem, w którym ma dominować depresja, będąca zdaniem znanego psychiatry, prof. Antoniego Kępińskiego, „czyścem na ziemi”. Wystarczy już dziś zobaczyć, jak wzrosła jej zachorowalność, przede wszystkim wśród młodych. Składa się na to wiele czynników. Jednym z nich jest ogromny skok cywilizacyjny, który utrudnia przystosowanie naszych organizmów do wciąż nowych warunków życia. Dzisiejszy człowiek jest wciąż w biegu – za coraz to nowymi wynalazkami techniki, chociaż posiadany sprzęt jest często dobry i wystarczający. Wystarczy jednak, aby kolega z pracy, siostra lub brat, sąsiad miał nowsze, większe lub lepszej marki. Do tego dochodzi przesadna dbałość o swoje ciało lansowana przez różnego rodzaju reklamy, przedłużający się czas pracy nawet do 12 godzin dziennie, niepewność jutra dotycząca pracy, umowy tzw. śmieciowe, nie wspominając już o coraz bardziej zatrutym środowisku. Płyną więc noce i dnie i nawet nie zauważyliśmy, jak znaleźliśmy się w pułapce, w której nie łatwo się wydostać. Z każdym dniem rośnie ilość bardzo przyziemnych informacji, przez które nie może przebić się sfera duchowa, tak potrzebna do prawidłowego rozwoju człowieka. Zaczyna więc dominować „mieć” nad „być”. Mimo tego, coraz bardziej brniemy, obrastając w bogactwo sprzętów, wysoko ogrodzonych domów z tabliczką: „uwaga zły pies”, którą dobrze by zacząć zmieniać na: „uwaga dobry człowiek”, co zbliżałoby ludzi do siebie. Poważniejszy to proces niż niektórzy myślą, bo oddalając się od ludzi, oddalamy się od Boga, który przyszedł na świat, aby łączyć, a nie oddalać i tworzyć na ziemi piekło.

Wiek XXI, wiekiem chorób cywilizacyjnych, z których jedną jest depresja, dolegliwość szczególnie bolesna, dlatego obcując z chorym, trzeba być wyjątkowo delikatnym i nie pouczać go najczęściej używanymi słowami, by „wziął się w garść”, dlatego, że ma zdrowe nogi i ręce. Zgadza się, ale warto pamiętać o tym, że jednym z objawów tej choroby jest to, że „nie chce się chcieć”, o czym wiedzą chorzy, którzy z tego powodu cierpią, mając świadomość tej niemocy, jak i bierności, która jest w nich tak mocno zakotwiczona, tak jak powolność ruchów, brak zainteresowania otaczającym światem, który z kolorowego stał się przerażająco szary. Dlatego nie pogłębiajmy ich cierpienia pouczeniami, ale raczej przytulmy i wysłuchajmy tego, co mają nam do powiedzenia.

Depresja – jedno niedługie słowo, a tyle w nim treści i ogrom cierpienia ...

Oczekuje pani litości

Oczekuje pani litości
a za oknem
ptaki tak pięknie śpiewają
kwitną kwiaty
mówi lekarz
do chorej na depresję
która milknie
zobaczyła swoją śmieszność
szukając ratunku u lekarza
okazuje się, że on nie wie
... a ptak może ranić śpiewem
rozrywać serce
kolorowe kwiaty przerażać ciemnością
jakby świat ogarnęła noc
noc na zawsze
i w niej przyszło żyć
bez światła
bez nadziei na jutro
żyć nie samej, ale z depresją
która tak boli
... oczekuje pani litości
dodatkowy ból ...

Depresja

Jedno niedługie słowo
a tyle w nim treści
(dla wtajemniczonych)
nieprzespanych nocy
łęku z łęku przed łękiem
przed niewiadomo kim i czym
niepokoju
powracających uparcie myśli
tych które nigdy nie powinny być zapamiętane
szarości kolorowego świata
wrogości przychylnej przyrody
kolców nawet na aksamicie
by nie było miejsca
do którego można by się było przytulić
zatrzymać na chwilę oddechu
dobrze chociaż, że Jesteś
Ty Jezu Chryste
dlatego możemy z depresją żyć

MSZA ŚWIĘTA - RYTUAŁ CZY RANDKA? CZĘŚĆ 3

Tekst

o. Patryk Zakrzewski OP

dominikanin, duszpasterz akademicki DA „Brama”, Szczecin

„Rodzina narzeczonej”

Zanim przejdziemy do omawiania poszczególnych części „randki z Bogiem”, jaką jest każda msza święta, należy udzielić krótkiego wyjaśnienia. Mianowicie, omawiane tu rytuały, za pomocą których wyrażamy naszą relację z Bogiem w Eucharystii, pochodzą z liturgii rzymskokatolickiej w jej obecnym – posoborowym kształcie – gdyż w takiej liturgii zakorzeniony jest autor tego tekstu i świadectwem przeżywania tej tradycji liturgicznej pragnie się podzielić.

Plan spotkania

Jak już sobie powiedzieliśmy, każda msza święta składa się z dwóch głównych części – liturgii Słowa i liturgii eucharystycznej (tzw. modlitwa eucharystyczna

wraz z komunią), uzewnętrznionych przez ambonę i ołtarz. Te dwa główne elementy liturgii mszy świętej są otoczone dodatkowymi rytami, które mają nam pomóc w jak najlepszym przygotowaniu się do uczestnictwa w celebracji. Tymi dodatkowymi rytami są: obrzędy wstępne, przygotowanie darów i obrzędy zakończenia. Idąc po kolei, teraz zatem zajmiemy się pierwszą częścią naszej „randki”, jaką są rytmy wstępne.

„Komplementy wstępne”

Zwykle, jeżeli nie uczestniczymy w tzw. cichej mszy, rozpoczynamy od wspólnego śpiewu. Ma on służyć zawiązaniu wspólnoty – byśmy, pomimo tego, że jesteśmy bardzo różni i czasem sobie obcy, zjednoczyli się we wspólnym uwielbieniu Boga. W tym czasie celebrans wraz z asystą przechodzi pośród zgromadzonych w kierunku ołtarza. Na jego widok wszyscy wstają. Jest to postawa, która ukazuje, że jako chrześcijanie jesteśmy uczestnikami „zmarłych-wstania”. Staje się to także gestem przywitania celebransa, a właściwie nie tyle jego samego, co Chrystusa, którego kapłan w czasie liturgii w sposób szczególnie reprezentuje (na podstawie obiektywnej mocy sakramentu święceń, a nie swojej osobistej świętości). Jest to więc wyraz szacunku – trochę tak jak powstanie chłopaka na widok dziewczyny zbliżającej się do stolika w restauracji.

Celebrans podchodzi do ołtarza i okazuje mu cześć przez gesty głębokiego ukłonu oraz pocałunku. To chyba nie wymaga specjalnego komentarza, tak jak nie wymaga tego pocałunek w czasie randki. Ołtarz jest przecież najważniejszym miejscem w kościele – to na nim dokonuje się Najświętsza Ofiara i jest on symbolem samego Chrystusa.

Po tych wstępnych gestach kapłan zwraca się do zgromadzonych i wszyscy robią na sobie znak krzyża, który odnosi nas do ofiary Chrystusa i przez który wyznajemy naszą wiarę w Trójcę Świętą. Zaraz potem następuje tzw. pozdrowienie. Nie jest to jednak zwyczajne przywitanie, ale błogosławieństwo i życzenie, aby zebrani doświadczyli Bożej miłości i uświadomili sobie, że sam Bóg jest pośród nich obecny. Najlepiej widać to w najstarszym pozdrowieniu (kapłan ma ich kilka do wyboru) – „Pan z wami”. Brak czasownika nie jest tu przypadkowy – wskazuje na to, że jest to jednocześnie życzenie i oznajmienie Bożej obecności. Jeszcze dziwniejsza może się nam jednak wydać odpowiedź zgromadzonych na to pozdrowienie. Mówimy bowiem: „I z duchem twoim”, a nie po prostu: „i z tobą”. Chcemy w ten sposób zachować biblijny – semicki – sposób wyrażania się, w którym „twój duch” oznacza „ty”, ale także jest odniesieniem do prawdy o wiele głębszej. Chodzi o podkreślenie tego, że to dzięki działaniu Ducha Świętego (a nie np. osobistej pobożności i doskonałości) kapłan reprezentuje w czasie liturgii Chrystusa – działa niejako w Jego imieniu (łac. in persona Christi).

Chwila prawdy

Kiedy już wymienimy „wstępne komplementy”, które mają nam pomóc zobaczyć siebie nawzajem jako tych, w których życiu działa Chrystus Zmartwychwstały, przychodzi czas na moment nieco mniej przyjemny. Mianowicie, jesteśmy zaproszeni do tzw. aktu pokuty, czyli uznania przed Bogiem i wspólnotą swojej grzeszności. Zarówno w relacjach międzyludzkich, jak i w naszej relacji z Bogiem niezwykle ważne jest, abyśmy stanęli w prawdzie o naszych słabościach, a nie tylko starali się o to, aby było miło. Bylibyśmy wtedy trochę jak randkowniczo-uwodziciel, który kreuje fałszywy obraz siebie, ale nie zdaje sobie sprawy, że w ten sposób nie da się zbudować prawdziwej i pięknej relacji. Jeżeli jednak staniemy w prawdzie, zobaczymy także, że ani Bóg, ani wspólnota Kościoła nie odrzuca nas z powodu naszych grzechów, ale chce byśmy na nowo uwierzyli, że dzięki mocy Chrystusa Zmartwychwstałego świętość jest nadal realna w naszym życiu. To tak jak w przypadku zakochanych, którzy, widząc nawzajem swoje słabości, chcą sobie pomagać w stawaniu się lepszymi.

„Dobrze, że jesteś!”

W czasie uroczystszej liturgii – w niedziele i święta – podczas mszy świętej wykonujemy hymn, który zaczyna się od słów: „Chwała na wysokości Bogu”. Jeżeli przyjrzymy się jego tekstowi, to może się nam on wydać nieco dziwny i nie pasujący do reszty modlitw z naszej dość powściągliwej i nie ulegającej zbytnej egzaltacji liturgii rzymskiej. Jest on bowiem tak naprawdę powtarzaniem w kółko tego samego („chwalimy Cię, błogosławimy Cię, wielbimy Cię, wysławiamy Cię”) – jak mają w zwyczaju zakochani, którzy próbują wyrazić swoją miłość poprzez różne słowa i cały czas nie znajdują takiego, które w pełni by ich usatysfakcjonowało. Co więcej, powodem tego uwielbienia nie jest jakaś konkretna korzyść, jaką uzyskujemy od osoby ukochanej, ale sam fakt jej istnienia („Dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja”). Chwalimy Boga za to tylko, że jest Bogiem!

Jedność w różnorodności

Ryt obrzędów wstępnych we mszy świętej kończy modlitwa zwana kolekta (łac. *collecta*). Nazwa ta pochodzi od łacińskiego czasownika *colligo*, który oznacza „zbierać” (używanie tego samego słowa na określenie „zbierania tacy” nie jest przypadkowe). Jeżeli chcemy zobaczyć, co „zbiera” ta modlitwa, warto przyrzeć się jej strukturze. Rozpoczyna się ona od wezwania kapłana: „Módlmy się”, po którym wszyscy zgromadzeni przez dłuższą chwilę powinni modlić się w milczeniu (na co, niestety, nie wszyscy celebriansi dają nam szansę). Jest to czas na wyrażenie w sercu przed Bogiem indywidualnych intencji każdego spośród zgromadzonych. Dopiero gdy to nastąpi, celebrians w głośnej modlitwie „zbiera” wszystkie te indywidualne intencje i „zanosi” je do

Boga (co podkreśla gest uniesionych rąk). W ten sposób możemy doświadczyć, że pomimo naszej różnorodności, wszyscy – jako dzieci Boże – jednoczymy się we wspólnej modlitwie. Podkreślamy to zresztą, potwierdzając na koniec modlitwę kapłana słowem „amen”. Jest to jedno z nielicznych słów hebrajskich (obok „alleluja” i „hosanna”), które pozostały nam w liturgii. Najpopularniejsze jego tłumaczenie to: „niech tak się stanie”, ale jest to słowo niezwykle bogate w znaczenia (pewnie właśnie dlatego nigdy go nie przetłumaczono). Wypowiadając to słowo, składamy jakby pieczęć pod modlitwą wypowiedzianą głośno przez celebransa.

PAN BÓG W DZWONECZKACH POPKULTURY

Tekst

ks. Wojciech Koladyński

wikariusz parafii rzymskokatolickiej pw. Świętej Trójcy w Chojnie,
badacz-amator popkultury

Może niejedna osoba, czytając ten tekst, będzie się pukać w głowę albo uśmiechać z niedowierzaniem – ksiądz? Takie rzeczy? A jednak. Bo gdy idę do szkoły – widzę pokolenie ze słuchawkami na uszach. Gdy bywam w większych miastach – widzę ludzi w dowolnym wieku ze słuchawkami na uszach. I jakoś ich wszystkich rozumiem, bo sam jestem jednym z nich – słuchawki są w moim magazynie podręcznym, bo trudno wyobrazić sobie życie bez muzyki. Dla wielu moich uczniów muzyka jest jak bariera, która ma oddzielać ich od świata dorosłych, problemów i szkoły. Dla mnie to przestrzeń spotkania Pana Boga. Bo Pana Boga naprawdę można spotkać w popkulturze. Słyszałem Go w muzyce jako licealista, słyszałem jako student i seminarzysta, słyszę Go jako ksiądz.

Adwent w przestrzeni radiowo-telewizyjnej mija niemal niezauważony. Ale jednak obok kolęd, brzmi w głośnikach kilkanaście hitów okołoswiątecznych – zazwyczaj jest to stały zestaw piosenek o miłości ubranych w choinkowe lampki i przyprószonych śniegiem. Lubię do tych numerów wracać, bo niektóre są naprawdę jak modlitwa. Tym piękniejsza, bo jakby ocalona „wśród dzwoneczków zwykłych spraw”.

Niekwestionowanym numerem jeden okołoswiątecznych hitów jest *Last Christmas* zespołu Wham. Na bok odkładam wszelkie towarzyskie zainteresowania wokalisty, zależy mi na samym tekście. Już refren pokazuje

najprostszą drogę, jak w tym roku nie zmarnować Świąt – w minionym podmiot liryczny został fatalnie porzucony – dlatego w tym zamierza oddać swoje serce komuś wyjątkowemu, żeby uchronić się przed kolejnymi zranieniami. Komu miałbym oddawać moje serce w każde Boże Narodzenie, jeśli nie Panu Jezusowi? On jest kimś wyjątkowym, kto nigdy mnie nie zrani. Zwrotki ten obraz umacniają – mamy zawiedzionego mężczyznę, który dał się oszukać (i sam przypuszcza, że pewnie dałby się oszukać ponownie), kierując uczucie pod zły adres. Zranienie krwawiło w nim przez jakiś czas, ale dziś postanawia zainwestować lepiej – a czy można lepiej zainwestować, niż w relację z Chrystusem? Mały manifest nawróconego, jak nic.

Fantastyczną piosenką-modlitwą może stać się inny z wielkich świątecznych hitów, czyli *All I want for Christmas is you* Marii Carey, coverowany niezliczoną ilość razy. „W te Świąta nie chcę zbyt wiele, potrzebuję tylko jednego. Nie dbam o prezenty pod choinką (...), święty Mikołaj nie ucieszy mnie żadną zabawką (...). Chcę Ciebie dla mnie, mocniej niż możesz sobie wyobrazić, spełnij moje życzenie. Wszystko, czego chcę na Świąta to Ty” – już pierwsza zwrotka mocno zarysowuje podstawową prawdę, że bez Pana Jezusa Świąta nie mają sensu. To Jego najmocniej pragnie moje serce i nic – ani prezenty, ani śnieg i świąteczna atmosfera (kolejne zwrotki) – nie będzie w stanie mi Jego zastąpić. W tych adwentowych dniach (zwłaszcza w codziennym wikariuszowskim biegu) lubię z tego „*All I want for Christmas is You*” robić mały akt strzelisty. Zawsze się wtedy uśmiecham.

Obok świątecznych piosenek mam jeszcze jedną nieświąteczną, która jest popkulturowym klasykiem, a dla mnie jednocześnie jest ukochanym kawałkiem na adwent. Dlatego dorzucam ją jako dodatkowy prezent. To *My heart will go on* Celine Dion z *Titanica*. Moi uczniowie uśmiechali się z dużym dystansem, gdy im o tym opowiadałem, ale to naprawdę bardzo adwentowa piosenka. Opowiada o tęsknocie za Tym, kogo kocha się najmocniej. Pierwsza zwrotka to streszczenie adwentu: „z daleka, poprzez odległości i przestrzenie pomiędzy nami przychodzisz, by zapewnić mnie, że jesteś”. Następnie słychać niejako echo wołania z Apokalipsy „Oto stoję drzwi i kołaczę”, bo w piosence jest pewność: „z daleka, z bliska, gdziekolwiek jesteś, przychodzisz (...), raz jeszcze otwierasz drzwi i jesteś tu, w moim sercu”. I tak przecież toczy się adwent (też ten życiowy), takim właśnie napięciem tęsknoty. Kulminacyjny moment piosenki opowiada o upragnionym spotkaniu, które przynosi prawdziwy pokój serca – „Jesteś tu – niczego się nie boję i wiem, że moje serce będzie żyć”. Można się ze mnie śmiać, ale dla mnie ta piosenka to dobry materiał na modlitwę, a adwentu bez niej sobie nie wyobrażam.

Tych kilka spostrzeżeń to nie rozmyślania teoretyka, ale garść wrażeń prosto

z serca, sprawdzonych nie raz, nie dwa w przestrzeni codziennej modlitwy. Modlitwa przecież powinna przenikać całe nasze życie – a wtedy nawet popkultura może stać się przestrzenią zbliżającą do Pana Boga. Nie tylko w Święta.

OTWÓRZ BIBLIĘ

ODCINEK 1

CHRONIĆ DOM CHLEBA

Tekst

ks. Michał Mikołajczak,
duszpasterz akademicki w szczecińskiej katedrze

Łk 2, 1-14

„W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta(...)«Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania»”.

Cały fragment w Piśmie Świętym Nowego Testamentu. W tym cyklu zachęcamy do jego lektury:)

Ten fragment Ewangelii odcytujemy, tradycją naszych ojców, w wieczór wigilijny, przy stole wieczerzy, zanim zaczniemy dzielić się opłatkiem... Św. Łukasz Ewangelista ukazuje nam prawdę historyczną, kiedy tak naprawdę urodził się Jezus. Przywołana postać Cezara Augusta pomaga nam umiejscowić to wydarzenie w konkretnym czasie, bo był on władcą Imperium Rzymskiego przez ponad 40 lat, od 30 r. przed Chrystusem.

Jezus w tym czasie przychodzi na świat, w nieludzkich warunkach – w stajni, po narodzinach położony w żłobie. Chrystus przyszedł właśnie do nas, by to, co w nas jeszcze nieludzkie stawało się ludzkim. W ciemności, w której przychodzi Jezus, uosobienie Światłości, zaczynamy dopiero dostrzegać naszą drogę zacienioną, ciemną i niebezpieczną. Jezus przychodzi do nas z miłości! Ma to miejsce w Betlejem, co w tłumaczeniu greckim oznacza „dom chleba”. I to my w swoich domach, łamiąc się opłatkiem – chlebem, czynimy właśnie Betlejem. Nasz dom i my – powinniśmy wiązać się z Betlejem – miejscem narodzin Boga. Może to okazja do rachunku sumienia, czy rzeczywiście Jezus się rodzi we mnie czy obok mnie?

Kiedy odczytujemy słowa, że Jezus narodzony jest Pierworodnym, to chcemy szukać kolejnych porodów Maryi, bo przecież pierworodny w rodzinie to pierwsze dziecko, a po nim następane rodzeństwo. W kulturze izraelskiej pierworodnym nazywano tego najstarszego, nawet w przypadku, gdy był jedynakiem. A dla mnie może być i moim starszym bratem Jezus, bo mamy tych samych rodziców, i wcześniej niż ja doświadczył życia na tym świecie...

Panie Jezu przyniosłeś w swoich narodzinach na ziemi Pokój, którego nam potrzeba. Proszę, bym potrafił ten Twój Pokój przyjąć i nauczyć mnie nieść go dalej...

KRZYŻ Z KAMIENIA

Tekst
Roman Zięba

Do flandryjskiego Kortrijk doszedłem późnym wieczorem. Byłem zmęczony i solidnie przemoczony. Z Irlandii siedłem już siódmy tydzień. Do upragnionego celu pielgrzymki w Brukseli pozostał zaledwie tydzień marszu, ale ostatnie dni są zawsze najtrudniejsze. Podpierając się kosturem zwieńczonym dużym, rzeźbionym w kamieniu staroirlandzkim krzyżem, szedłem przez zabytkowe centrum, rozglądając się za kościołem, gdzie mógłbym zapytać o nocleg. Coś, co przypominało klasztorną bramę okazało się faktycznie wejściem do klasztoru pasjonistów. Wszedłem do okazałego kościoła z początku XX wieku. Był pusty. W bocznej kaplicy zwrócił moją uwagę potężny marmurowy sarkofag, najwyraźniej miejsce pochówku jakiegoś wybitnego człowieka. Z tablicy informacyjnej napisanej po flamandzku nie mogłem nic zrozumieć, zapamiętałem tylko imię i nazwisko: Izydor de Loor. Postanowiłem sprawdzić kim był przy najbliższej okazji. Szukanie gospodarzy klasztoru okazało się bezowocne, domofon przy furcie milczał. Może są na modlitwie, albo wyjechali? Z trudem podniosłem plecak, wyjąłem różaniec i poszedłem szukać czegoś dalej.

Zapadał już zmierzch, może dlatego nie zauważyłem miejsca, w którym chodnik krzyżował się ze ścieżką dla rowerów. Krawężnik chodnika był ścięty, w ramach łatwiejszego podjazdu, i właśnie w tę nierówność trafiła moja prawa

stopa. Tracąc równowagę, ratując odruchowo kostkę przed zwichnięciem, runąłem pod ciężarem plecaka, wypuszczając jednocześnie kostur z dłoni. Upadłem boleśnie na kolano i na łokieć. Leżałem na mokrym chodniku oszołomiony tą nagłą katastrofą. Nigdy coś podobnego nie przydarzyło mi się ani w górach, ani na wiejskich bezdrożach, a tu upadam na prostej drodze. Miałem zawsze poczucie, że kostur z krzyżem daje mi oparcie. Krzyż! Dopiero teraz zauważyłem, że niesiony przeze mnie od samej Irlandii kamienny krzyż na kosturze, upadając na chodnik rozpadł się na kilkanaście kawałków. Mój krzyż widoczny był zawsze z daleka. Każdy kto mnie spotykał wiedział, że nie jestem turystą. Pod nim czułem się bezpiecznie, idąc przez Irlandię, Anglię i Francję. Gdy nocowałem pod namiotem w podejrzanym okolicy stawiałem kostur z krzyżem przed namiotem i spokojnie zasypiałem. Był moim paschalnym drogowskazem, znakiem mocy. Niektórzy widząc krzyż, podchodzili żeby porozmawiać, zaciekawieni. Kilka razy usłyszałem nawet coś w rodzaju spowiedzi. Mówili do krzyża, nie do mnie. Czasem widziałem łyż. Przyciągał ich krzyż – znak miłości.

Teraz leżał obok mnie w kawałkach, pogruchołany jak ja. Czułem że nie mogę wstać. Byłem słaby i bezbronny.

Wtedy pojawili się oni. Przechodzili akurat obok i widzieli mój upadek. Nada i Willem, para młodych Belgów w wieku mojej córki, odruchowo pochylili się nade mną z troską. Odpiąłem plecak. Pomogli mi wstać. Kolano było przecięte, świeciła dziura w spodniach, ale chyba nic poważnego. Gorzej z łokciem, mocno krwawił i bolał przy zginaniu.

- Mój krzyż...

We troje pochyliliśmy się i zaczęliśmy zbierać z chodnika rozrzucone kamienne okruchy.

- Jestem pielgrzymem, idę do Brukseli... - próbowałem się przedstawić. Chyba nie byli zaskoczeni. Zajęli się mną niczym pielęgniarze.

- Mamy dom tu niedaleko, zaprowadzimy cię. Przemysiesz ranę i odpoczniesz.

Okazało się że Nada i Willem studiują pomoc społeczną, są młodą parą, która właśnie tego dnia dostała klucze do ich nowego domu mieszczącego się dwie ulice dalej.

Dom zawalony był kartonami i nierozpakowanymi meblami. Z ulgą wziętem gorący prysznic, nakleiłem plaster na łokieć, a potem zajęliśmy się z Willemem skręcaniem stołu i uruchomieniem kominka. Wszyscy poczuliśmy atmosferę domu.

- Możesz u nas przenocować. Będzie nam naprawdę bardzo miło. Jesteś pierwszym gościem w naszym domu – Nada uśmiechnęła się radośnie - Jest sypialnia dla ciebie na górze.

Wyjąłem z kieszeni kurtki kamienne kawałki i położyłem na blacie. W ciszy wzięliśmy się za układanie z nich krzyża. Kawałek po kawałku, jak układankę z puzzli. Chciałem go jakoś skleić przed jutrzejszą drogą.

- My jesteśmy ateistami – przerwała ciszę Nada.

Nie zdziwiło mnie to. W Belgii praktykujących chrześcijan jest niewiele.

- Pielgrzym nie dzieli ludzi na wierzących i niewierzących – wypaliłem – tylko na tych, którzy pomagają i tych, którzy nie pomagają.

Wymieniliśmy uśmiechy.

- Pracujemy z Willemem w ośrodku readaptacji. Pomagamy imigrantom i bezdomnym.

- Czyli trafiłem w dobre ręce – odpowiedziałem z ulgą i szerokim uśmiechem

Okazało się, że w układance krzyża brakowało jednego kawałka. Musiałem wrócić po niego przed kościół, pod którym upadłem. Miałem nadzieję że go tam znajdę.

- Pójdę z tobą – zaproponowała Nada.

Gdy szliśmy zaczęła powiadać mi swoją historię. Urodziła się w chrześcijańskiej rodzinie w Libanie, w Dolinie Bekaa, potem przenieśli się do Bejrutu. Od wczesnego dzieciństwa zносиła do domu bezdomne zwierzaki, pomagała słabszym, była bardzo wrażliwa na ludzką krzywdę.

- Kiedyś na ulicy spotkałam bezdomnego. Miałam osiem lat. Usiadałam obok niego i zapytałam, co mogę dla niego zrobić. „Daj mi funta na jedzenie” – odpowiedział. Miałam kieszonkowe od rodziców ale wahałam się. W końcu dałam mu monetę i poszłam. Ale coś nie dawało mi spokoju, wróciłam i spytałam tego człowieka: „Czy pan naprawdę jest bezdomny?”

On odparł: „Tak”. Wtedy odpowiedziałam: „W takim razie daję to panu z całego serca”.

Chodziliśmy całą rodziną do kościoła. Czytałam żywoty świętych. W wieku 10 lat chciałam zostać zakonnica. Potem wybuchła wojna z Izraelem, bomby, strach. Widziałam ludzkie strzępy na ścianach domów, od gąsienic czołgów trzęsły się ściany. Potem była druga wojna, jeszcze gorsza. Palestyńczycy walczyli z żydami, a chrześcijanie przeciwko szyitom z Hezbollahu. Nie potrafiłam tego zrozumieć, pytałam mamę, ale nic nie mówiła, płakała. Nie było wody, zginęło wielu naszych sąsiadów. Przystałam chodzić do kościoła. A potem, gdy już byłam dorosła, widziałam w telewizji wojnę w Bośni. Sąsiedzi, ludzie mówiący jednym językiem, zabijali się nawzajem w okrutny sposób. Myślałam wtedy – czy oni naprawdę wierzą w tego samego Boga? Gdzie ukrywa się Bóg który pozwala na to wszystko?

Potem wyjechaliliśmy do Kanady, a stamtąd już tu, do Belgii. Mam już belgijski paszport i tutaj chcę zostać. Chcemy wziąć ślub z Willemem, mieć dzieci i żyć spokojnie, normalnie. Kocham go i on mnie też. Czasem czuję, że czegoś mi brakuje. Gdy jest mi trudno, chciałabym się pomodlić. Myślę wtedy o Bogu, ale czy On mnie w ogóle słyszy? Powiedz mi, proszę, czy jeśli ja nie wiem, czy On istnieje, po prostu nie wiem, to czy ja jestem ateistką?

- Nie wiem – odpowiedziałem jakoś cicho.

Nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Każda odpowiedź teraz zabrzmiałaby głupio i pusto. To wszystko było jakieś nierealne: upadek na prostej drodze, ci dwoje, pytania Nady, na które sam szukałem odpowiedzi. Postanowiłem, że będę się modlił za tę młodą parę z Kortrijk. Ucieszyłem się, że jutro wrócę na pielgrzymi szlak i znowu usłyszę łagodny rytm kostura stukającego o asfalt. Jedyna uczciwa odpowiedź to chyba tylko modlitwa, deszcz i zmęczenie.

Ucieszyliśmy się bo w świetle latarni udało nam się w końcu znaleźć brakujący kawałek krzyża. Po powrocie do domu sprawdziłem w Internecie kim był Izydor de Loor. Okazało się, że był prostym chłopem, który jako młody człowiek zapragnął wstąpić do zakonu. Nie miał wykształcenia, nie został księdzem. Był bardzo pokorny, miał dar modlitwy. W zakonie wykonywał najprostsze prace w kuchni i na furcie. Wszystkie trudne doświadczenia potrafił znosić z wdzięcznością. Po kilku latach od ślubów wykryto u niego nowotwór oka. Stopniowo tracił wzrok. Gdy ból uniemożliwiał modlitwę, prosił współbraci żeby dziękowali w jego imieniu, za to, że żyje. Oko trzeba było usunąć, ale okazało się, że rak ma przerzuty. Ostatni rok życia spędził w wielkim cierpieniu. Nie stracił wiary, cierpienie codziennie ofiarowywał. Jego postawa, sposób w jaki znosił ból, zdumiewała współbraci. Gdy umierał, modliło się za niego wielu mieszkańców Kortrijk. Na pogrzeb prostego zakonnika, który nie zostawił po sobie żadnych pism i niczym się nie odznaczył poza tym pokornym umieraniem, przyszło prawie sto tysięcy osób i to w czasach, gdy świat doświadczał okrucieństw wojny światowej, a gazety codziennie donosiły o śmierci – był rok 1916. 68 lat później Izydor de Loor został beatyfikowany przez Jana Pawła II. Czułem, że w śmierci tego prostego zakonnika była ukryta odpowiedź na pytania Nady i na pytania, które niosłem w mojej pielgrzymce.

Skleiłem mój krzyż klejem dwuskładnikowym od Willema. Pozostały wyraźne ślady w miejscu łączenia elementów. Wyglądał teraz nie tak elegancko jak na początku, ale trzymał się mocno. Przywiązałem go znowu do kostura. Poczułem się pewniej. Znowu jest ze mną mój znak. Znak zwycięstwa miłości nad śmiercią. Jestem gotów do drogi.



Sebastian Roszkowski i Piotr Kołodziejski zapraszają na sportową audycję w internecie „Sport w Sieci”. Ciekawi goście, wśród nich sportowcy, trenerzy, działacze i dziennikarze sportowi z innych mediów. Rozmawiamy o wydarzeniach sportowych w Szczecinie, kraju i na świecie. Na stronie również relacje on line z meczów piłkarzy Pogoni Szczecin i siatkarek Chemika Police. Zapraszamy do słuchania i czytania na www.radioszczecin.pl/sws. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/sws92fm>

Proszę zeskanować kod QR



Na XXIX Międzynarodowym Katolickim Festiwalu Filmów i Multimediiów „Niepokalanów 2014”, który miał miejsce w dniach 23-25 maja 2014 r. nasz współbrat ks. Mariusz Sokołowski SChr w kategorii Program Radiowy otrzymał za cykl „O POWOŁANIU NA SERIO” II nagrodę. Na festiwalu oceniono 158 katolickich filmów, programów telewizyjnych, multimedialnych, teledysków i 40 programów radiowych autorów z 23 krajów - pisze serwis chrystusowcy.pl.

Gratulujemy i zapraszamy na kolejny tekst Wielebnego Ojca:)

POLSKIE OJCZYZNY ALBO POLAK POTRAFI...

Tekst

Ks. Mariusz Sokołowski SChr
chrystusowiec

Pewnie było to jakoś między godziną 14.00 a 16.00 i zawsze w niedzielę. Z jakąś czekoladką w ręku i kubkiem czarnej herbaty z cytryną siadałem w fotelu przed szklanym ekranem, aby obejrzeć program podróżniczy Tony'ego Halika i Elżbiety Dzikowskiej „Pieprz i wanilia”. Fascynujące były to obrazy i opowieści z bardzo odległych zakątków świata. Dzięki podróżom Halika i Dzikowskiej świat stawał się bliższy i do tego jeszcze bardziej fascynował. Dziś podróżujących z kamerą po świecie jest wielu, a programy jeszcze bardziej ambitne i ciekawe. Wydaje się, że świat został odkryty i zbadany. Nie wiem, może tak, a może nie... ale na pewno nieodkryty jest człowiek, który mimo wieków wciąż pozostaje tajemnicą i to sam dla siebie. Ciekawa jest też polska dusza. No właśnie jaka ona jest? Głęboka, ambitna, walcząca o swoje. I choć o Polakach w świecie często mówiono: „pijacy, złodzieje” (bo na taką opinię i etykietę zapracowaliśmy), to ten obraz się zmienia. Polacy to świetni fachowcy, cenieni w wielu branżach, odważni, coraz częściej władający kilkoma językami. Ale to też ludzie, którzy cenią swą tożsamość, pamiętają o korzeniach i wierze ojców. Piszę o tym, bo mogłem wielokrotnie odwiedzać środowiska polonijne w świecie i sam to widziałem, tego doświadczałem. W kontekście Bożego Narodzenia obraz Polaka – człowieka wierzącego – wyjątkowo nabiera kształtów. Na przykład w Irlandii, ci Polacy, którym nie udało się na święta pojechać do domu, do Polski, nie chcąc pozostawać samemu, gromadzą się u kogoś i w kilka, kilkanaście osób przygotowują i razem spożywają wigilię, by poczuć się jak w ojczyźnie, jak w rodzinnym domu. A po niej, jeśli jest możliwość, udają się na pasterkę. Z kolei w Niemczech, gdzie żyją

całe rodziny polskie, także wigilia i święta są przeżywane po polsku. Właściwie już adwent pokazuje, że to co wynieśli z domu, z rodzinnej parafii, chcą przeżyć i tutaj. Dlatego też ogromną popularnością (wiem, to nie jest najlepsze słowo) cieszą się roraty zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Ktoś z zewnątrz może się dziwić, że w sobotę o 7.00 rano kościół jest pełen wiernych. Może wydawać się to (w tych warunkach emigracyjnych) nienormalne, a jednak poczucie odpowiedzialności za swoją i dzieci formację i za dobre przygotowanie do świąt przynagla rodaków, aby mimo wczesnej pory i wolnego dnia do kościoła przyjść. Nas, duszpasterzy, to cieszy i mobilizuje do jeszcze gorliwszej posługi, bo naprawdę warto. Tym bardziej, że widać tego owoce. Oczywiście, że często (i jest to nieuniknione) wkrada się pomysł, by przeżyć Święta Bożego Narodzenia inaczej, jak niestety czyni to wielu Niemców, tzn. przejąć się tym co zewnętrzne: dekoracjami, choinką, Mikołajem; by było ładnie, kolorowo, przytulnie i fajnie i tyle... Na szczęście taka pokusa nie trwa długo. Istotnie weihnachtsmarkt (jarmark bożonarodzeniowy) cieszy oko, przyspiesza bicie serca, bo wszystko jest kolorowe, pachnące a ludzie tacy mili, ale trzeba być ślepym, żeby nie wiedzieć, że brakuje w tym ducha, głębi. Stąd raduje fakt, że Polacy przy tej całej świątecznej oprawie, dekoracji miast, domów, nie zapominają wysprzątać swych wnętrz. Nie trudno domyślić się, że wynieśli to z Polski. Dawno temu na katechezie siostra zakonna czy ksiądz tak bardzo mocno akcentowali taki sposób przygotowań do spotkania Jezusa w tajemnicy betlejemskiej nocy, że wyryło się to mocno w ich pamięci. Dlatego, choć ważne są porządki w domu, to najważniejsze jest sprzątnięcie duszy. Jako duszpasterze

Fot. Archiwum prywatne





widzimy to po liczbie penitentów czekających, by uklęknąć przy kratkach konfesjonału. Zdecydowanie w grudniu jest ich więcej. I znów jest to powód do radości. Taka jest polska dusza i wierzę, że taka zostanie. Jasne, że są wyjątki, bo Polak, też człowiek i gubi się, wypiera tożsamość narodową i na siłę chce być Niemcem, Amerykaninem, Anglikiem. Na szczęście znikomy procent. Zresztą, z tej – na siłę prowadzonej – asymilacji i tak niewiele wyjdzie, bo mądry Polak wie, że żyjąc w Niemczech, USA, Irlandii, Anglii, musi szanować tych u których zamieszkał, bo dali pracę, dach nad głową, chleb i nie myśli nawet o tym, by tworzyć jakieś getto polskie, ponieważ tak nie da się żyć na obczyźnie. Przy tym jednak wie, że ma prawo do pielęgnowania swej wiary, kultury, także poza granicami Polski. Trzeba dodać, że nierzadko społeczność polonijna może wnosi coś w życie tych, pośród których zamieszkała. Choćby wspomnieć zwyczaj święcenia pokarmów na stół wielkanocny, zwyczaj łamania się opłatkiem... Dla Niemców to nieznanne, a zachwyca i pociąga, by od Polaków to przejąć i zaszcześcić na stałe w rytuał świąteczny.

Świat jest piękny. Wspaniale pokazywał go Tony Halik i Elżbieta Dzikowska. Piękniejszy jest jednak świat człowieka i on sam, który samotną wyspą nie jest, lecz nieodkrytą na pewno. Jaki jest i kim jest Polak, jacy są Polacy? Wyrusz ze mną na spotkanie z Polakami w świecie a przekonasz się, że Polak potrafi... pracować uczciwie, być kulturalny, kochać, tęsknić, wierzyć. Nie zobaczysz tego w telewizji, w niedzielę między 14.00 a 16.00. Musisz to przeżyć.